NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. Kraków, 24 sierpnia 1912. Nr. 34.

Zamach na biskupa.

(Treść na str. 2).



Nr. 34. „Nowości Illustrowanych" zawiera: Koronacya obrazu Matki Boskiej w Kochawinie. — Pogrzeb 113 ofiar katastrofy. — Ogród zoologiczny w Warszawie. — Wielki pożar w Petersburgu. — W szponach handlarza żywym towarem. — Szkoła gospodarstwa domowego na kresach wschodnich.

Z Kongresu esperantystów w Krakowie.

Zamach na biskupa.

(Do illustracyi tytułowej).

Geniusz i obłąkanie — jak twierdzą niektórzy — graniczą ze sobą, nie ulega jednak wątpliwości, że znaczna część zbrodni, i to najpotworniejszych, ma swe źródło w obłędzie. Taka zbrodnia, spełniona przez szaleńca, zelektryzowała w ubiegłą niedzielę cały Wiedeń. Dokonano tam mianowicie zamachu na ks. biskupa Pflugera przed tumem św. Szczepana. Ksiądz biskup Pfluger około godz. 10 rano opuścił pałac arcybiskupi, położony tuż przy kościele i w szatach pontyfikalnych udał się pieszo do tumu na nabożeństwo z okazyi urodzin cesarskich. Kiedy biskup w towarzystwie służącego podchodził już do zakrystyi, przyskoczył do niego nagle jakiś człowiek i błyskawicznym ruchem ugodził go w plecy nożem. Uderzenie było tak silne, że nóż złamał się w ranie. Księdza biskupa Pflugera przeprowadzono natychmiast do mieszkania, gdzie przywołani lekarze stwierdzili, że rana jest wprawdzie ciężka, lecz nie zagrażająca życiu.

Sprawcę zamachu, który nie stawiał żadnego oporu, schwytano i zaprowadzono na policyę. Odmówił on zeznań, udając głuchoniemego. Ze znalezionych przy nim papierów przekonano się jednak, że jest to niejaki Prinz, który już kilkakrotnie przebywał w zakładach dla obłąkanych. Ostatnio znajdował się w szpitalu dla waryatów w Steinhofie pod Wiedniem, skąd go wypuszczono, jako „nieszkodliwego" zaledwie przed kilku dniami, bo 13 b. m.

Niestety, jak nieusprawiedliwioną była ta opinia lekarzy, przekonał bardzo rychło zbrodniczy czyn Prinza przed tumem św. Szczepana.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia ten niezwykły w kronikach kryminalnych zamach szaleńca na biskupa przed kościołem.



Koronacya obrazu Matki Boskiej w Kochawinie: Akt koronacyi na polanie. (Fot. M. Münz, Lwów).

Koronacya obrazu Matki Boskiej w Kochawinie.

W archidyecezyi lwowskiej znajduje się małe miasteczko Kochawina, które już od średnich wieków otaczane jest specyalną czcią i iest podobnie jak Kalwarya Zebrzydowska, miejscem licznych pielgrzymek. W kościele parafialnym Kochawińskim znajduje się łaskami słynący, cudowny obraz Matki Boskiej, do którego oddawna pielgrzymowali zawsze wszyscy biskupi w kraju.

Za pozwoleniem Stolicy Apostolskiej odbyło się 15 b. m. uroczyste ukoronowanie cudownego obrazu złotymi koronami. Uroczystość miała przebieg wspa-



Pogrzeb 113 ofiar katastrofy: Trumny ze zwłokami ofiar katastrofy kopalnianej w Bochum.

niały, a wzięło w niej udział pięciu biskupów, setki księży i zakonników oraz dziesiątki tysięcy pątników, którzy z całej Galicyi, pobliskiego Śląska i Węgier na uroczystość przybyli.

W dzień koronacyi cudownego obrazu rano odprawiono w kościele Kochawińskim przeszło 100 Mszy św. Sumę celebrował ks. arcybiskup Bilczewski, poświęciwszy przedtem przygotowane korony. Następnie wyruszyła z kościoła uroczysta procesya na polanę w lesie, gdzie w r. 1646 po raz pierwszy zaczęły się cudowne objawienia Matki Boskiej. Na obszernem rusztowaniu, pięknie udekorowanem, ustawiono ołtarz polowy i tu na oczach tysięcy zgromadzonych odbyła się uroczystość koronacyi. Korony nałożył ks. arcybiskup Bilczewski, poczem wygłosił kazanie.

Po udzieleniu błogosławieństwa przez wszystkich biskupów, procesya udała się z powrotem do kościoła, niosąc obraz ukoronowany, który następnie wśród uroczystych ceremonii pomieszczono w wielkim ołtarzu.

Dzięki usilnym zabiegom i staraniom obecnego proboszcza Kochawińskiego, ks. Trzopińskiego, ukończono budowę i ostateczne urządzenie nowej świątyni, która stanęła w r. 1894 po zburzeniu starego drewnianego kościoła. Jego też zabiegom głównie przypisać należy wspaniałość, z jaką odbyła się obecnie koronacya obrazu i pomieszczenie go w nowym kościele.



Koronacya obrazu Matki Boskiej w Kochawinie: Procesya. (Fot. M. Münz, Lwów).



Szkoła gospodarstwa domowego na kresach wschodnich: Uczenice szkoły gospodarstwa domowego w Tłumaczu. W środku nauczycielka p-na Abdermanówna

Pogrzeb 113. ofiar katastrofy.

Straszna katastrofa kopalniana w Bohum w Westfalii, jak ostatecznie ustalono, pochłonęła 113 ofiar, a wśród nich 51 Polaków, którzy w poszukiwaniu pracy — znaleźli tragiczną śmierć na obczyźnie.

Pogrzeb nieszczęsnych ofiar kopalni odbył się jednocześnie w Gerthe. Za długim szeregiem trumien postępował orszak, liczący do 50,000 osób. Kondukt katolicki prowadził ks. biskup Schultz w otoczeniu licznego duchowieństwa, wśród którego znajdowało się też kilku księży polskich. Trumny, ustawione według wyznań, złożono w jednym wspólnym grobie. Na cmentarzu przedstawiciele związków robotniczych wygłosili szereg przemówień. które do łez wzruszyły zgromadzone tłumy... Najbardziej jednak wzruszającym był widok kilkudziesięciu wdów i setek sierót, opłakujących stratę mężów i ojców.

Szkoła gospodarstwa domowego na kresach wschodnich.

Wschodnia Galicya może niewątpliwie służyć za wzór pracy społeczno-narodowej. Powstają tam liczne czytelnie T. S. L., kółka rolnicze, kasy Reiffeisena, drużyny bartoszowe, ochronki i szkoły gospodarstwa domowego dla dziewcząt polskich.

W celu uświadomienia pod względem narodowym i wyrobienia pod względem gospodarczym, powstały na kresach Wschodnich staraniem Kongregacyi pań Kochawińskich dwie szkoły gospodarstwa domowego, a mianowicie: w Zydaczowie z kursem 5 cio miesięcznym i w Tłumaczu z kursem 8-mio miesięcznym.

Szkoła w Tłumaczu powstała dzięki zabiegom pani Antoniny Horodyńskiej, właścicielki Przybyłowa, która, do dziś dnia, mimo pomocy Wydziału Krajowego i subwencyi Tow. gospodarskiego, jest tam „spiritus movens" nietylko pod względem duchowym, ale i finansowym.

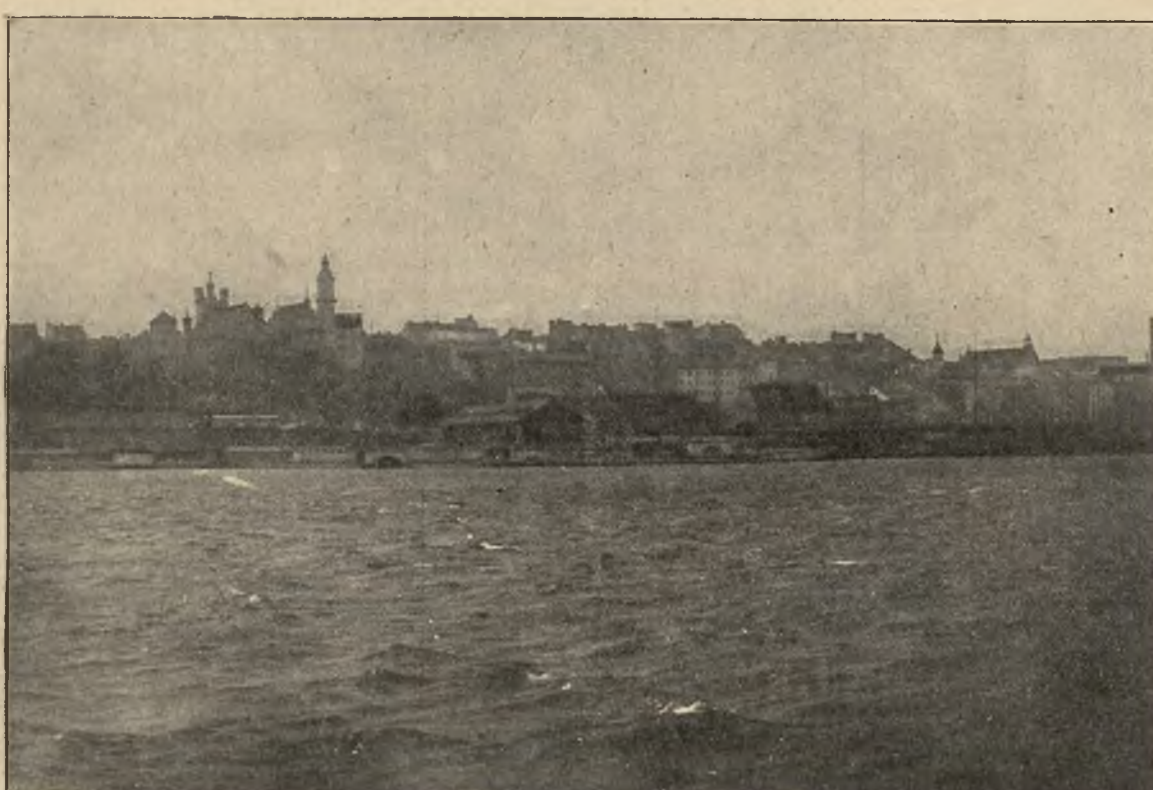
Szkoła powstała na gruntach gminnych, wydzierżawionych bezpłatnie na lat 20. Na przestrzeni 3 morgów mieszczą się zabudowania szkoły, sad i zagony warzywne.

Szkoła mieści działy: maślarnię, piekarnię, szwalnię i pralnię. Z przedmiotów wykłada się: religię, historyę i geografię Polski, hygienę, warzywnictwo, mleczarstwo, chów bydła i drobiu, oraz sadownictwo. Liczba uczenic w roku b. nie przekraczała 15 stu. z których 13 pochodziło ze Wschodniej Galicyi. Do szkoły przyjmuje się od lat 16-tu Polki, córki gospodarzy wiejskich, po ukończeniu 4-ech klas ludowych. Stałą nauczycielkę jest p. Abdermanówna, która z iście godnem zaznaczenia poświęceniem, mimo niewygód i początkowo ciężkich warunków pracy, wytrwale i z pożytkiem pracowała nad młodem pokoleniem polskich gospodyń wiejskich. W roku b. pracowały oprócz tego jeszcze dodat-



Ogród zoologiczny w Warszawie: Ogólny widok Parku Aleksandryjskiego, gdzie ma powstać ogród zoologiczny. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

kowe siły nauczycielskie żeńskie i miejscowy proboszcz ks. kan. Tabaczkowski, oraz miejscowy fizyk, który wykładał hygienę.



Ogrod zoologiczny w Warszawie: Widok na Wisłę i starą Warszawę, roztaczający się z miejsca przyszłego ogrodu zoologicznego. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

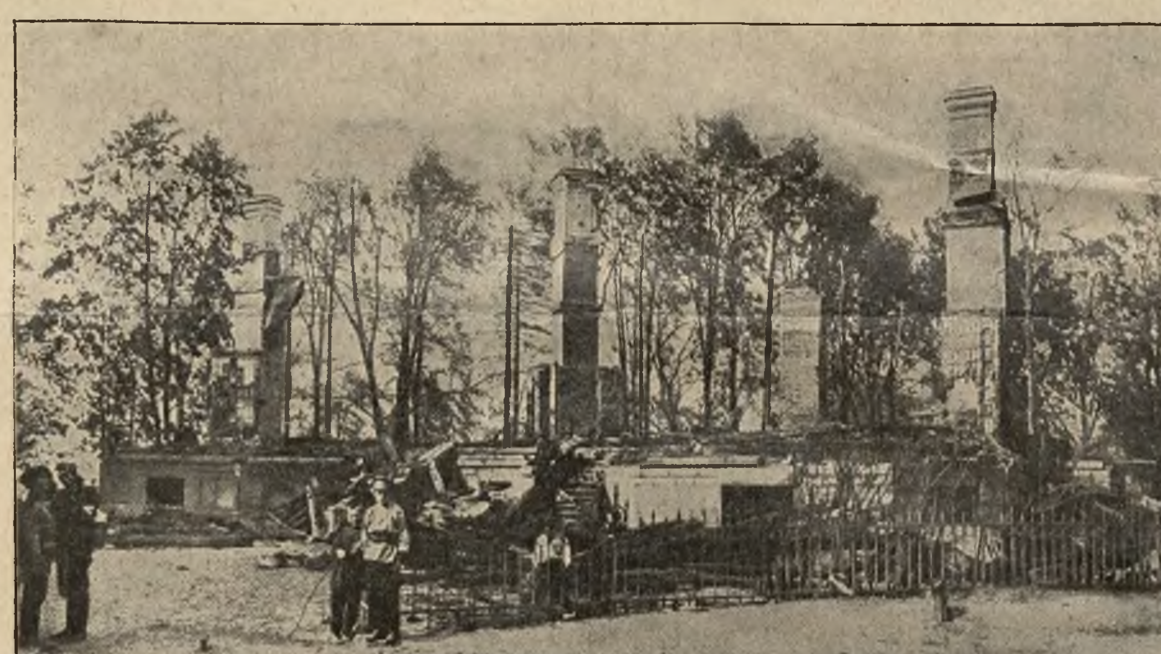


Nowy teatr polski: Jan Pietrzycki, kierownik literacki „Teatru premier". (Do art. na str. 9).

Wielki pożar w Petersburgu.

Przed kilkunastu dniami nad Petersburgiem zajaśniała straszna łuna pożaru. Rozpętane płomienie szalały w gwałtowny sposób, niszcząc po drodze wszystko. Ofiarą ognia padł szereg budynków, jako to magazyny wojskowe, koszary brygady granicznej, budynek straży ogniowej. Spłonął także doszczętnie historyczny pałac Piotra Wielkiego. W płomieniach zginęło wiele pamiątek i tylko małą część zbiorów zdołano uratować.

Ogólną szkodę obliczają na przeszło 6 milionów rubli. Nie obeszło się także bez ofiar w ludziach, gdyż płomienie ogarniały domy bardzo szybko a ratunek był wielce utrudniony.



Wielki pożar w Petersburgu: Zgliszcza pałacu Piotra Wielkiego.

Ogród zoologiczny w Warszawie.

Warszawa, zwana słusznie małym Paryżem, pod względem życia wielkomiejskiego skutecznie rywalizuje ze stolicami Europy... Na jednym jednak punkcie była stanowczo upośledzoną, nie posiadając dotychczas — w przeciwieństwie do innych wielkich miast — ogrodu zoologicznego. Brak ten ma być wszakże niebawem usunięty. Powstaje mianowicie towarzystwo akcyjne z kapitałem 250,000 rubli, które ma założyć w Warszawie ogród zoologiczny, urządzony według wszelkich najnowszych wymagań. Ma się on mieścić w dawnym Parku Aleksandryjskim, który doskonale nadaje się do tego celu.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Uroczyste zamknięcie Kongresu w sali Starego Teatru (Do art. na str. 7).



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Charakterystyczne typy na Kongresie: P. Soriano z Sewilli w stroju narodowym (Do artykułu na str. 7).

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

31)

— Przechodzimy ostre zapalenie, panie Romanie, — zaśmiał się doktor; — nie można uogólniać jednego wypadku. Przypuszczam, że wiem, co pana spotkało i co pana gnębi. To jednak należy do zwykłych doświadczeń życia, że ogień parzy. Pan zbliżyłeś się do lampki, biorąc ją za słońce i naturalnie płomień lampy spiekł pana. Czy to dziwne?

— Mój panie doktorze, filozofować można dopiero po reakcyi, i jestto przelewanie z próżnego w puste, ale póki się żyje, czuje, cierpi, to cała filozofia w łeb bierze. Czy to umniejszy ból pana po śmierci blizkiej osoby, że pan będzie uzasadniał to ogólną regułą śmiertelności?

— Umniejszy o tyle, że mogę każdej chwili pójść w tę samą nicość. Nie sztuka jednak umrzeć, sztuka żyć i wynagrodzić ludzkości poniesioną stratę. Na razie robi się to pod przymusem etycznym, a stopniowo przemienia się w potrzebę życia i wszystko wraca jak było.

— Tak, tylko że traci się wiarę, zaufanie, radość życia i świat staje się taki pusty, szary, nudny i brudny.

— Jakżeż panu zazdroszczę! jaki pan młody! — uśmiechnął się smutno doktor. — Uczucie w tej chwili wzięło przewagę nad rozumem i logiką. Słuchając pana, mam wrażenie, że widzę dziecko po utracie lalki. Ten ostatni wyraz może pan wziąć dosłownie i przenośnie, jak pan chce.

— Niech pan oszczędzi tej analizy, — mówił zniechęcony Roman.

— Usłuchałbym pańskiego kaprysu, gdyby szło tylko o pana, ale pan zamartwia sobą swoją zacną matkę i kochającą siostrę... Wie pan, wstąpmy na kieliszek wina, lubię czasem posiedzieć z przyjacielem w brudnej i zadymionej izbie przy butelce wina.

— Nie, dziękuję panu.

— Nie bądźże pan dzikim, panie Romanie, trzeba być ucywilizowanym i grzecznym, no, idziemy, — wskazał na blizką winiarnię.

Po kilku chwilach obojętnej rozmowy, Roman poczuł wdzięczność dla doktora i roztajał ze swej obojętności.

— Powiedz mi, panie doktorze, czy to możliwe jest psychologicznie, ażeby ktoś dawał namacalne dowody miłości i przywiązania i nagle, ni stąd ni zowąd, stał się nietylko obojętnym, ale drugiego, zupełnie obcego i wstrętnego sobie człowieka obdarowywał swemi uczuciami?

— Panie Romanie, podstawmy zamiast nieznanego X. pannę Filarkównę, a tego drugiego ochrzcijmy Butrinkiem, to uprości sprawę, — a widząc chmurną minę Romana dodał: — odważny człowiek nie boi się nazwać nieprzyjaciela po nazwisku, no, trąćmy się i wypijmy... a teraz trochę zimnej logiki, zgoda?

— Mów pan.

— Panna Filarkówna to sobie zwykła, przeciętna mieszczaneczka, która po przeczytaniu kilku romansów, postanowiła być nieziemską, idealną bohaterką, godną pióra angielskich autorek. Pana uwiodły te pozory, to w porządku. Ale to źle, że pan tak boleje nad swoim błędem.

— Może pan ma i racyę.

— Stary Filarek, to dorobkiewicz, pragnący wkupić się za każdą cenę w hierarchię urzędniczą, która rządzi i trzęsie krajem. Ponieważ nie ma syna, któryby musiał zostać urzędnikiem, więc przez zięcia wchodzi w upragnioną sferę. Czy to nie jest w porządku? Czy nie powinno się być pobłażliwym dla tej głupiej ambicyi? Każdy z nas ma swoją głupotę, pozwólmy ją mieć i jemu... A o Butrinku już nie mówię, to zwykły, marny chlebojad urzędniczy. I jest tu czego się smucić, męczyć matkę, martwić siostrę?

— No, tak... ale ona... — westchnął Roman.

— Nie troszcz się pan o nią, — uśmiechnął się doktor, — ona będzie panią oficyałową, później panią inspektorową, wreszcie panią radczynią, więcej niż prawdopodobnie zawiąże dyskretne flirty, romansiki, aż póki zmarszczki nie nakłonią jej do zostania pobożną matroną. To przebieg normalny, a pan go chciałeś zmienić i naturalnie sparzyłeś się.

Roman, po tej rozmowie z doktorem, poczuł dziwną ulgę i zaczął jaśniej patrzeć na świat i ludzi.

Wprawdzie wracały jeszcze fale smutku i żalu, zwłaszcza, gdy przy pierwszem spotkaniu się na ulicy, Mania i ciotka udały, że go nie widzą i tylko Stasia odkłoniła mu się z przyjaznym uśmiechem.

XXIII.

Żale jego osobiste musiały jednak ustąpić wobec zawikłania w stosunkach życia realnego.

Roman od pewnego czasu spostrzegł, że Spiegelman nieregularnie wypłacał należności za dostarczony materyał surowy, a przy zmniejszonej produkcyi towaru wydalił część robotników. To go zaniepokoiło i pilnie śledził obroty kasowe. Zwierzył się nawet ze swych obaw technikowi i buchalterowi. Obydwaj jednak zapewnili go, że przy zamierzonem powiększeniu fabryki, produkcya dotychczasowego towaru musi być obniżona na razie.

Jednego dnia otrzymał bilet od Marskiego, w którym ten donosił:

„Dowiaduję się w tej chwili, że z fabryką Spiegelmanna jest krucho, niech pan przypilnuje swej kaucyi, bo gotów pana zarwać. Dawno nie był pan z nami na piwie. Przyjdź pan, a obgadamy bliżej tę sprawę“.

Roman otrzymał ten bilet wieczorem i mimo, że kasę i fabrykę zostawił w zwykłym porządku, zaniepokoił się bardzo otrzymaną wiadomością i wcześniej niż zwykle udał się nazajutrz do fabryki.

Już zdala zaniepokoił go widok nieczynnego komina, a zbliżywszy się, zobaczył przed bramą budynku fabrycznego zwarty tłum robotników, którzy klęli i wymyślali na właściciela.

Dostawszy się do biura, dowiedział się od buchaltera, że Spiegelman wyjechał zagranicę, a sąd ogłosił upadłość fabryki i poszukuje fabrykanta, podejrzanego o rozmyślne bankructwo.

Moryc nie szczędził przekleństw i narzekań, przedstawiając siebie i swych towarzyszy biurowych jako ofiary wyzysku i podejścia Spiegelmana, a pocieszał się tem, że bilans fabryczny nie jest tak rozpaczliwy, ażeby nie dało się przeprowadzić umowy z wierzycielami, i fabryki otworzyć napowrót na zmienionych warunkach.

Utrata posady i kaucyi bardzo zmartwiła Romana, ale na równi bolał nad niedającem się uniknąć zmartwieniem matki.

Zgnębiony i smutny wracał do domu, a nie chcąc przyjść w porze niezwykłej, włóczył się po mieście aż do chwili obiadowej.

Wysilał się na swobodę i dobry humor, pragnąc odłożyć złe wiadomości do chwili sposobnej, ale właśnie ta nienaturalna wesołość wzbudziła podejrzenie i w końcu obiadu odezwała się matka:

— Romciu, ty coś ukrywasz? Czy spotkało cię co nieprzyjemnego?

— To nic szczególnego, mam swoje zmartwienia.

— Czy sercowe? — zaśmiała się Irena.

— Gdyby to tylko sercowe! — westchnął.

Irena spojrzała na niego bacznie i dodała:

— Jeśli o plotki idzie, nie masz potrzeby martwić się. Już się pogodziłam z tem, że w Krakowie należę do dziewcząt wyzutych ze wstydu i honoru, — zaśmiała się z goryczą, — i nic mi na tem nie zależy, a swoją drogą, gotowa jestem na wzór mamy, suszyć raz w tygodniu na intencyę wybawienia nas z Krakowa i tych miłych burżujów.

— Romciu, przyznaj się, — prosiła matka, — czy znów coś o Irence?

— Ależ nie, to rzecz zupełnie inna.

— Nie uspokoję się, póki mi nie powiesz, — patrzała z obawą na syna.

— To idzie o fabrykę. Mówiłem już mamie, że mam pewne podejrzenia. On coś kręci i obawiam się o posadę, a tutaj tak ciężko znaleźć nową.

— No, no, Romek, sama obawa nie wywołałaby takiej zmiany u ciebie, na czole masz wypisaną zgryzotę.

— I ja to widzę, — dodała matka. — Poco ukrywasz? Straciłeś posadę?

— Spiegelman jeszcze mi nie wymówił, ale to możliwe.

Służąca przyniosła listy odebrane od listonosza. Roman i Irena zajęli się odczytywaniem listów, a otwartą kartkę pocztową położyła była służąca przed Czajkowską, która machinalnie spojrzała i odczytała słowa:

„W sprawie waszej kaucyi u tego żydowiny, radzę wam udać się do mego kolegi, zacnej i poczciwej duszy...“ — na tem kończyły się słowa kartki z odkrytej strony.

Czajkowska pobladła, pełna niepokoju wpatrywała się w Romana i dopiero, gdy skończył czytanie listu, podsunęła mu kartkę, mówiąc:

— Romciu, przeczytaj, to rzecz ważniejsza.

Roman rzuciwszy okiem na kartkę, powiedział zmieszany:

— Więc mama wie już o wszystkiem. Spiegelman zbankrutował i fabrykę zamknięto.

— To okropne! — Łzy stanęły jej w oczach, — straciłeś posadę i kaucyę.

— Co? i kaucyę? — zawołała Irena, — przecież ubezpieczyłeś ją, radziłeś się nawet swych tutejszych przyjaciół... Mili przyjaciele! — zaśmiała się ironicznie.

— Jeśli kaucya stracona, to prawdopodobnie byli oni w zmowie z żydem, — powiedziała matka rozżalona, — bo ty jesteś tak nieostrożny i każdemu wierzysz.

— Proszę was, — zawołał szczerze oburzony, — ani słowa o tych ludziach. Marski uprzedził mnie o pogłoskach bankructwa fabryki, a Remberski tylko przez przyjaźń doradza w tej kartce, — wziął ją do ręki, — w jaki sposób mam się ratować. Jak można podejrzywać o jakieś podłe machinacye tych zacnych i uczciwych ludzi, których ani mama, ani ty Irenko nie znacie.

— Mniejsza o to, Romciu, — westchnęła matka, — w żalu bywa człowiek niesprawiedliwym. Ale co teraz będzie? z czego żyć będziemy? co się z nami stanie?

— Musimy radzić sobie. Nie myślę ginąć tu, w Krakowie, postaram się o inną posadę.

— Ale czy znajdziesz? — wątpiła matka, — a zanim to przyjdzie, z czego żyć będziemy? Gdybyś był przynajmniej nie dodał do pierwotnej kaucyi tysiąca pięciuset koron, to możnaby było przeczekać... a tak cię prosiłam, tak cię ostrzegałam!

Roman spochmurniał, gdyż zwiększył był swą kaucyę na żądanie Spiegielmana, z obawy utraty posady, a wówczas drżał na tę myśl, starając się o rękę Mani. Nie chciał się jednak przyznać, że tylko dla Mani zaryzykował te pieniądze i powiedział kwaśno:

— Stało się. Dałem, bo uważałem interes jako zupełnie pewny, a i dziś wcale nie wątpię, że wycofam kaucyę z niewielką stratą.

— Jeśli jednak sąd ogłosił upadłość, to sądząc podług naszych stosunków w Warszawie, sprawa zwrotu może przeciągnąć się przez rok i dłużej, — troszczyła się matka, — a my mamy całego kapitału siedemset koron.

— Tylko siedemset? — zdziwił się, — to niemożliwe!

— Mam każdy wydatek zapisany, na siebie nic nie straciłam, a Irenka ubierała się za swoje pieniądze z lekcyi i z moich procentów.

— Ależ ja wierzę mamie, tylko mnie to dziwi, bo przecież to dopiero czerwiec i pensyę oddawałem mamie.

— Zapominasz jednak o twoich wydatkach, Romciu, a przecież, oprócz znacznych kosztów na twoje nowe ubrania, był czas, że niemal codziennie wydawałeś po dziesięć, dwadzieścia koron, chociaż cię ostrzegałam.

Wiedziała Irena, w jakim celu stracił Roman tyle pieniędzy, a widząc go tak zmartwionym, powiedziała dość szorstko:

— Dlaczego mama robi wymówki Romkowi? To były jego pieniądze i wolno mu było ich użyć, jak chciał. A zresztą, czy to babranie się w przeszłości zwróci pieniądze?

— Ja mu też wymówek nie robię, — broniła się matka, — ale jeśli on dziwi się, gdzie się podziały pieniądze, to ja muszę mu powiedzieć prawdę, niech wie, że to nie moja wina.

— Moja mamo, poco te kwasy, — mówiła zniechęcona Irena, — czy nie możemy spokojnie pomówić o przyszłości, i co należy począć w zmienionych warunkach. Ja z mej strony oddam do domu pieniądze za lekcye, i bardzo żałuję, że dałam buciki do naprawy, bo teraz szkoda każdego grosza.

— Ileż ty masz Irenko? — uśmiechnął się Roman.

— W tym miesiącu będę miała dwadzieścia koron, ale w lipcu pewnie mniej, bo kończą się szkoły.

— Jakaś ty poczciwa, Irenko, — rozczulała się matka, — niewiele to, ale zawsze pomoc.

— Przypuszczam, że nie będziemy potrzebowali pieniędzy Irenki na życie. Teraz pójdę do adwokata wskazanego przez Remberskiego i poproszę go o szybkie wydobycie kaucyi ze sądu.

— Romciu! — zawołała Czajkowska, — a gdybyś się udał w tej sprawie do wuja, on przecież wysoka figura w sądzie. Nigdyśmy go o nic nie prosili, mógłby raz swoim wpływem nam pomódz.

— O, nie do wuja! — zawołała z niesmakiem Irena, — przecież od czasu oświadczyn Maryewskiego, ciotka z Klimcią oddawały nam zaledwie ceremonialne wizyty po kilka minut i po to tylko, ażeby

mamę martwić opowiadaniem głupich plotek o mnie i o Romku.

— I ja mamo, mam to przekonanie, że wuj prócz spóźnionych nauk i rad, nic nam nie pomoże. To ciasna dusza filistra i biurokraty.

— Jesteście niesprawiedliwi, — narzekała matka, — nie mówię o Paulisi i Klimci, one są dziwnie rozgoryczone do nas, ale Jaś, to zacny i uczynny człowiek. I jak możesz, Romanie, być tak niewdzięcznym, kiedy pierwszy wuj szukał dla ciebie posady i starał się o protekcyę.

— I bardzo dużo z tego mi przyszło, — zaśmiał się ironicznie, — poznałem kilku nadradców, nadinżynierów, dyrektorów, same nudne, stare kompatory.

— Że mu się nie udało, to nie racya drwić z niego, zawsze miał dobre chęci pomódz nam, a taką życzliwość należy cenić.

— Wuj Jaś, to słaba strona mamy, — zaśmiała się Irena, — czy też on nie nadskakiwał kiedyś mamie? bo on to lubi.

— Także coś, — obruszyła się, — był już żonaty, kiedy go poznałam. Nie zatrzymujmy Romcia, niech idzie do adwokata.

Wieczorem wrócił Roman i z przykrością zawiadomił matkę, że wydobycie kaucyi potrwa dość długo, a zataił obawę adwokata, iż z kaucyi tej w najlepszym razie da się uratować tylko jakiś nieznaczny procent.

W trzy dni po ogłoszeniu upadłości zgłosił się do Czajkowskich właściciel kamienicy i oświadczył z chłodną powagą:

— Pan stracił posadę, wobec tego nie mam gwarancyi, że będzie pan regularnie co pierwszego płacił za mieszkanie, a nawet, czy wogóle będzie pan płacił; z tego powodu żądam wypłaty kwartalnej, i o ile pan posady nie otrzyma, proszę o opróżnienie mieszkania po najbliższym kwartale.

— Wypowiedzieć panu wolno, — odparł oburzony Roman, — ale mimo że posiadam gotówkę, będę panu płacił czynsz miesięcznie bo taka jest nasza umowa.

— Zobaczymy, — uśmiechnął się drwiąco właściciel, — nie przyszedłem zresztą na kłótnie i żegnam pana, a co powiedziałem, tego dotrzymam.

Wkrótce spostrzegli Czajkowscy wielką zmianę na gorsze ze strony sług, stróża, sklepikarki i wogóle ludzi, z którymi ich łączyły jakiekolwiek stosunki pieniężne. Wszyscy traktowali ich podejrzliwie i nie ufali ich słowu.

Na gorący list Czajkowskiej przyszła po kilku dniach odpowiedź Terlikowskiego, że przeciwny jest z zasady jakiemukolwiek wpływaniu na bieg spraw sądowych i nigdy w żadne protekcye w tym kierunku się nie wdawał i nie wdaje, a dodatkowo donosi o żonie i córce, że są bardzo zajęte przygotowaniami do wyjazdu na lato, który w tych dniach nastąpi.

Czajkowska spłakała się i te łzy zdradziły ją przed dziećmi, które mimo swych uprzedzeń do wuja, odczuły bardzo przykro ton chłodny i zrywający jego listu.

— Wszyscy nas opuścili, — skarżyła się matka. — Zdawało mi się, że doktor Lencki jest inny, ale i ten o nas zapomniał.

— Istotnie, tego i ja się nie spodziewałam, — zachmurzyła się Irena, — pozował na wyjątek wśród Krakowian, a jest taki sam jak inni.

Przykro było Romanowi słuchać tych oskarżeń, ale nie umiał i nie mógł stanąć w obronie Lenckiego, który od chwili, gdy przy spotkaniu z nim w mieście dowiedział się o zamknięciu fabryki, nie był ani razu u nich, jednak powiedział na chybił trafił:

— Możliwe jest, że doktor wyjechał, wspominał mi coś o tem, — kłamał z całą świadomością, — że wyjedzie jako lekarz do któregoś zdrojowiska.

— Mógł przynajmniej napisać kilka słów, bo napewno domyśla się, jak nam ciężko i smutno wśród tych ludzi tak obcych, tak niechętnych, cieszących się z cudzego nieszczęścia.

Na dzwonek w przedpokoju, powiedziała matka zdziwiona:

— A któż to do nas przychodzi?

— Może która z koleżanek Irenki, — szedł Roman drzwi otworzyć i za chwilę witał głośno doktora, który, skłoniwszy się Irenie, całował rękę Czajkowskiej i usprawiedliwiał się:

— Wyjechałem tak nagle z Krakowa, wezwany telegraficznie, że nie miałem czasu zawiadomić Romana o mym wyjeździe.

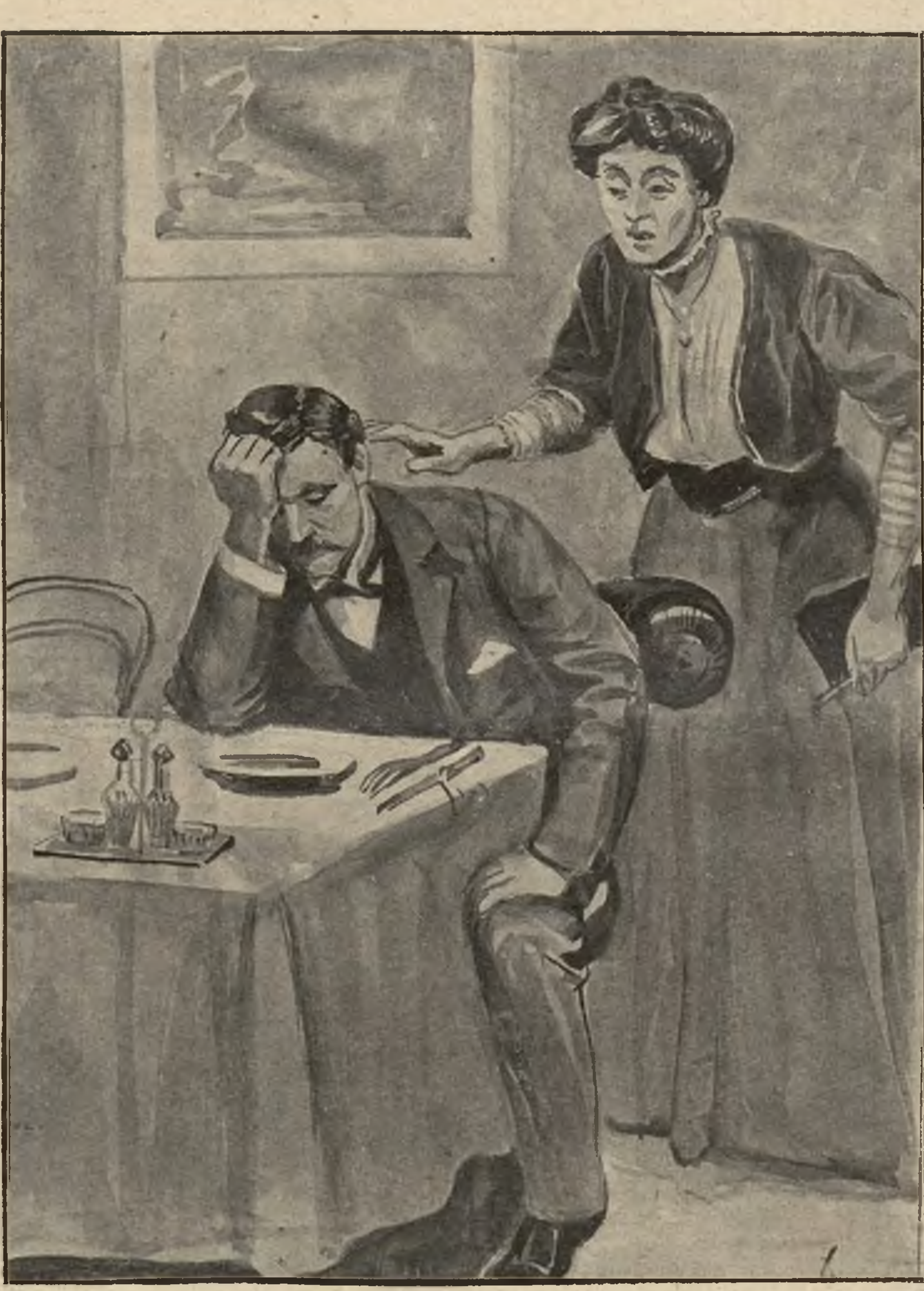
— Było to nam trochę przykre, ale dobrze, że pan wrócił, z panem zawsze raźniej, — uśmiechała się przyjaźnie Czajkowska.

— Dobra to rzecz wyobraźnia, — zaśmiał się. — A pani, panno Ireno, nie zapyta, gdzie byłem?

— Zapewne w dzikim kraju, gdzie poczty nie istnieją, — odparła wesoło.

— Odpłacę się pani szlachetnością. Przed półgodziną wróciłem z Warszawy, mam ją jeszcze w oczach, w uszach, w sobie całym. Czy zazdrości mi pani?

— Bardzo szczerze. Ale co pan tam robił przez tak długi czas?



— Romciu, ty coś ukrywasz? Czy spotkało cię co nieprzyjemnego?

— No, nie tak bardzo długi. Zostałem wezwany do chorego w Poznańskie i wstąpiłem do Warszawy.

— Poznań a Warszawa? — zaśmiała się, — wstąpił do piekła, po drodze mu było.

— Piekło robią tam tylko nasi opiekunowie, ale my tam żyjemy pełnem życiem. Cóż u państwa słychać? Obawiam się, że niewesołe to były chwile dla państwa?

— Ach, panie doktorze, — odezwała się z żalem Czajkowska, — z wyjątkiem dwóch czy trzech znajomych Romcia inni nie chcą nas znać, podejrzywają, że chcemy ich wyzyskać, oszukać, że zarządamy pomocy, pożyczki... nigdy nie przypuszczałam że w tym Krakowie żyją tacy egoiści nieużyci, wprost nieprzyjaźni dla nas, którzy im nic złego nie zrobiliśmy.

— No, no, aż tak dalece, — uśmiechnął się doktor.

— Tak, panie doktorze, — zawołała Irena, — to gniazdo filistrów i sobków bezmyślnych. Prócz biura, piwa i plotek nic ich nie zajmuje, niczem się nie interesują i żyją jak pasożyty pięknego, starego Krakowa.

— Ale polskiego Krakowa, panno Ireno?

— No, już o Polsce żaden z Krakowian nie myśli, im wystarcza pensya i emerytura austryacka.

— I ja jestem tego zdania, — dodał Roman, — Polska dla nich, to chorobliwa chimera, której unika i wyrzeka się każdy porządny Galicyanin.

— Wiecie moi państwo, — zaczął doktor, — z kilku, kilkunastu, czy kilkudziesięciu okazów przypadkowo spotkanych, nie można sądzić o faunie i florze całego kraju, byłoby to i niesprawiedliwe i nielogiczne. Moi mili współobywatele krakowscy nie są wcale ideałami i przyznaję, że posiadają dużo niemiłych wad i błędów, ale w gruncie rzeczy są to dobrzy ludzie i w danej chwili potrafią bez szemrania spełnić swój obowiązek, trzeba tylko ażeby ktoś do nich właściwie przemówił i poruszył trochę senną i zmateryalizowaną duszę.

— Nie wierzę w to, — upierała się Irena.

— A ja odpowiem pani znanym frazesem: *„grattez un Prussien vous trouverez toujours un barbare“*, a tu się da powiedzieć: *grattez un Cracovien vous trouverez toujours un Polonais.*

— Ładny frazes, ale tylko frazes.

— Zobaczymy, — i doktor począł się rozpytywać o ich plany na przyszłość.

Wśród rozmowy odezwał się Roman:

— Gdybym miał tylko możność powrotu do Warszawy, bierz licho całą kaucyę i wszystkie posady krakowskie, mam listowną propozycyę objęcia od października miejsca zarządzającego filią warszawską jednego z najpoważniejszych domów handlowych z pensyą trzy tysiące rubli rocznie prócz tantyemy.

— Panie doktorze, a co słychać w Warszawie? Czy nie mówią o jakich pomyślnych zmianach? — spytała Czajkowska, — bo w takim razie możeby pozwolono nam wrócić.

— Nic nie słyszałem, ale przypuszczam, że powrót państwa będzie możliwy, jeśli nie w październiku, to na przyszły rok.

— A pan skąd wie? — zawołała Irena.

— Przy sposobności rozmawiałem ze znajomymi o panu Romanie i od nich mam tę wiadomość.

— Ach Boże, Boże! żeby to się sprawdziło! — westchnęła Czajkowska.

— Tego i ja życzę państwu, chociaż utracę wasze miłe towarzystwo, — spojrzał doktor na Irenę.

— Ale nie naszą przyjaźń, panie doktorze, — odpowiedziała Irena, — bo pan jest jedynym żywym człowiekiem dla nas w Krakowie.

— Tego rodzaju komplement mogę przyjąć, — zaśmiał się doktor, — bo istotnie żyję, oddycham, patrzę, słyszę...

— I czuję, — dodała Irena.

— Tak, czuję dobroć i łaskawość pani, — uśmiechnął się, — no a ci inni panno Ireno?

— Inni robią na mnie wrażenie emerytów przeżytych, nie żądających już nic od życia, prócz spokojnego wegetowania.

— Tak, to niezłe określenie, ale starszych ludzi, ze stanowiskiem...

— I młodzież taka sama. W myśli i w sercu tylko karyera, szukanie protekcyi, chociażby drogą pokory i wstrętnej uniżoności.

— Nie zna pani ludu, tych prawdziwych Krakowiaków. Co za temperament, jak w nich wre, kipi i przewala się życie, jaki rozmach w tańcu, w robocie, w bijatyce! Tylko tacy mogli gołemi rękami zdobyć armaty pod Racławicami i przyciągnąć je wśród śpiewu i okrzyków na rynek krakowski.

— Żałuję, że nie znam ludu krakowskiego, chociażby dlatego, że pan się nim tak zachwyca, ale nie miałam sposobności.

— Ani ja, — dodał Roman.

— A wiecie państwo, — uśmiechnął się doktor, co to znaczy poznać?

— Iść między nich, żyć z nimi, — tłómaczyła Irena.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z Kongresu esperantystów w Krakowie.

Cały tydzień trwały w Krakowie uroczystości i narady esperantystów, którzy zjechali się do Jagiellońskiego grodu z całego świata. Jak ostatecznie ustalono w biurze Kongresu, na krakowskim zjeździe esperantystów reprezentowanych było trzydzieści narodowości, mianowicie: Anglicy, Baskowie, Belgowie, Bułgarzy, Chorwaci, Czesi, Duńczycy, Finlandczycy, Francuzi, Hiszpanie, Hindusi, Irlandczycy, Katalończycy, Meksykanie, Niemcy z Austryi i Niemiec, Norwegowie, Polacy, Rosyanie, Rumuni, Serbowie, Amerykanie ze Stanów Zjednoczonych, Szkoci, Szwajcarzy, Szwedzi, Ukraińcy, Walijczycy, Turcy, Węgrzy i Włosi. Niektóre grupy narodowościowe były bardzo liczne, między innymi poważną grupę stanowili Anglicy, Rosyanie i Hiszpanie. Naturalnie zjechali się też bardzo licznie esperantyści polscy.

Prace Kongresu podzielono na dwie części. Na pierwszy plan wysunęły się obrady sekcyi, które ułożono według zawodów i według przekonań politycznych lub religijnych. Sekcye obradowały przeważnie nad praktycznem zastosowaniem języka esperanckiego do celów zawodowych i naukowych. Następnie odbył się szereg plenarnych posiedzeń Kongresu, na których omawiano sprawy ogólne, dotyczące organizacyi propagandy Esperanta oraz spraw przyszłych zjazdów. Delegaci kilku krajów zgłosili zaproszenia imieniem rządów i tow. esperanckich dla ustalenia miejsca przyszłego Kongresu. Ostatecznie uchwalono, aby w roku przyszłym zjechać się w Genewie.

Obok posiedzeń kongresowych odbył się szereg uroczystości. Członkowie Kongresu złożyli po kolei hołd Mickiewiczowi i Kopernikowi. Pod pomnikiem Mickiewicza na rynku krakowskim przemawiał redaktor Hodler z Genewy, prof. Bujwid i dr. Mikołajski ze Lwowa. Uczestnicy Kongresu złożyli na pomniku wspaniały wieniec.

Hołd Kopernikowi oddali przedewszystkiem wszyscy profesorowie uniwersytetów, jacy na zjazd przybyli, oraz młodzież akademicka. Imieniem Kongresu przemawiał prof. Bourlet z Paryża.

Kongres uczcili także socyaliści krakowscy, zwołując publiczne zgromadzenie ludowe. Na zgromadzeniu tem przemawiali przybyli na zjazd socyaliści angielscy, francuscy, niemieccy, węgierscy, tureccy, czescy, serbscy i rosyjscy. Socyaliści krakowscy, licznie zgromadzeni, urządzili im burzliwą owacyę.

Kulminacyjnym jednak punktem uroczystości kongresowych był wspaniały bal międzynarodowy, który odbył się w salach Starego Teatru. Urządzeniem balu zajmował się gorliwie obszerny komitet krakowski, nie szczędząc trudu, aby bal wypadł świetnie. Uczestnicy Kongresu w znacznej części przybyli w narodowych kostyumach. Jeden z naj-



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Twórca Esperanta, dr. Zamenhof (X) z rodziną pod pomnikiem Mickiewicza.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Zgromadzenie socyalistów krakowskich na cześć esperantystów.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Grupa esperantystów polskich, biorących udział w Kongresie.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Hołd profesorów i akademików pod pomnikiem Kopernika na dziedzińcu Biblioteki Jagiellońskiej.

piękniejszych był oryginalny kostyum hiszpański p. Soriano z Sewilli. Nadto licznie pojawiły się kostyumy słowackie, śląskie, francuskie, kaukaskie i inne.

Bardzo licznie wystąpili w narodowych kostyumach Polacy, zarówno w kontuszach, jak i strojach historycznych i ludowych.

Huczne oklaski zbierała dziarska ósemka Krakowiaków i Krakowianek, którzy pod wodzą p. S. Uziembły i pny. Bujwidówny jako państwa młodych odtańczyli mazura.

Wspomnieć jeszcze wypada o rozdaniu nagród konkursowych przez Kongres za prace naukowe i literackie w języku esperanckim. Ogłoszenie nazwisk laureatów nastąpiło na wystawie architektonicznej.

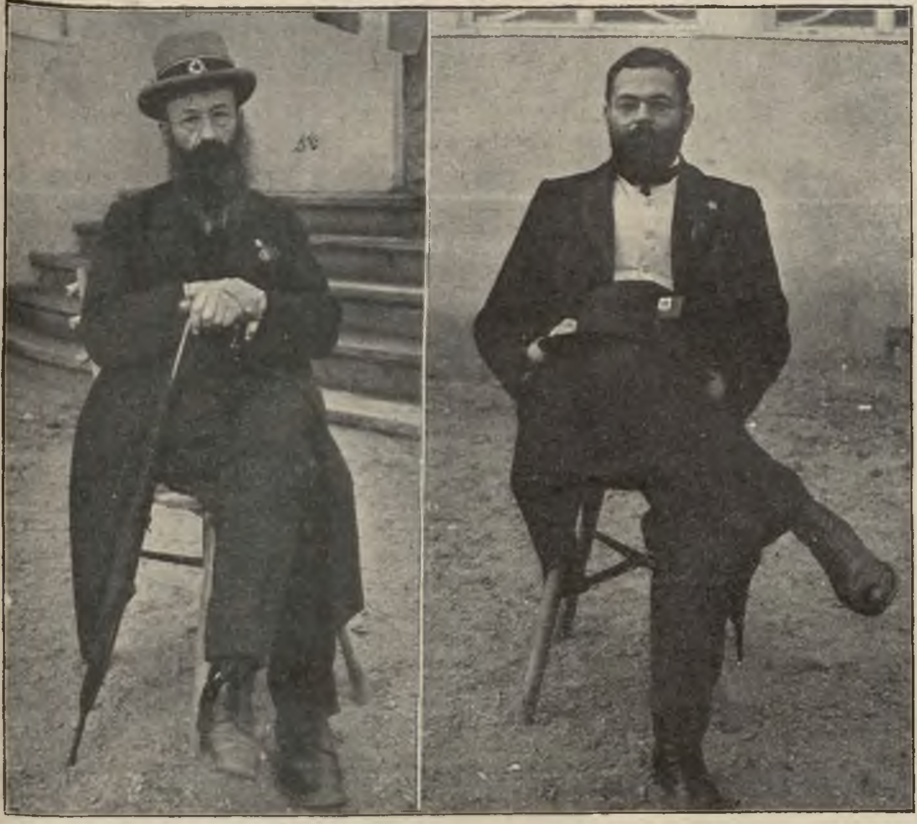
Za dziełko pod tytułem „Geniusz i charakter Byrona“ otrzymała I. nagrodę p. A. Schäfer z Londynu. II. nagrodę otrzymał za „Pamiętniki dziecka“ p. Kurt Sommer.

Za poezyę „Narcyz“ przyznano tylko drugą nagrodę p. Dewiatynowi, Rosyaninowi, który przybył do Krakowa z Paryża piechotą. Za matematykę przyznano nagrodę p. Frechet z Bordeaux, za pracę pod tytułem „O wchłanianiu deszczu przez liście i łodygi“ otrzymał nagrodę p. Dreusiche z Kassel.

Uczestnicy Kongresu odbyli także kilka wycieczek. W czasie trwania Kongresu gremialnie zwiedzili kopalnie w Wieliczce, zaś po Kongresie część jego uczestników wyruszyła do Zakopanego, gdzie byli uroczyście przez trzy dni podejmowani przez specyalny komitet.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Złożenie wieńca na pomniku Mickiewicza.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Charakterystyczne typy na Kongresie: Norwegczyk Honoratus Bonnevie (po lewej stronie) i Hindus z Bombaju, Irah Jehangir Sorabji.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Grupa Węgrów, biorących udział w Kongresie.

Wspomnieć jeszcze wypada, iż dla wygody uczestników Kongresu Bank Kraj. urządził w gmachu Kongresu osobny oddział bankowy, w którym zmieniono przez czas trwania Kongresu pieniędzy za przeszło pół miliona koron. Także dyrekcya poczty urządziła osobne biuro Kongresowe, zaś listy pieczętowano specyalną pieczątką pocztową zieloną.

Należy przytem wogóle naznaczyć, że bardzo wielkie zainteresowanie językiem esperanckim okazali w Krakowie urzędnicy pocztowi, a na szczególną wzmiankę zasługuje wzorowo funkcyonujący urząd pocztowy Nr. 4. na Podwalu, gdzie urzędowali w języku esperanckim specyalnie przydzieleni urzędnicy pocztowi, p. p. Kazimierz Zajączkowski i Mikołaj Ilnicki. Urząd ten funkcyonował bez przerwy cały dzień ku ogólnemu zadowoleniu publiczności zagranicznej, z którą porozumiewał się p. Zajączkowski także w języku francuskim i angielskim, a p. Ilnicki w języku rosyjskim.

Dodać jeszcze wypada, iż Kongres krakowski był pierwszym, na którym wogóle urządzono specyalną pocztę esperancką, co z uznaniem podnoszono.

Redakcya nasza wydała celem uczczenia Kongresu specyalny numer „Nowości Illustrowanych“ w języku esperanckim, który rozszedł się w kilku tysiącach egzemplarzy.

Nowy teatr polski.

Staraniem i funduszami zawiązanego świeżo we Lwowie Towarzystwa akcyjnego z ograniczoną poręką, które przystępuje do dzieła ze znacznym ka-



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Uczestnicy Kongresu w kostyumach narodowych na balu esperanckim w Starym Teatrze.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Amerykanie składają wieniec i sztandar Stanów Zjednoczonych na kamieniu Kościuszki.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Zagranica na Kongresie: Paryżanin prof. Bricard (X) z żoną (trzyma w ręce „Nowości Illustrowane") w gronie Francuzów.

pitałem, powstaje z dniem 1 października b. r. pod nazwą „Teatr premier", instytucya bardzo pożądana, a mająca wielkie znaczenie kulturalne: stały teatr polski (dramat i komedya), przeznaczony dla dziesięciu większych miast Galicyi.

Celem teatru jest zapoznawać te miasta z najświeższemi nowościami repertuaru teatralnego, ze szczególniejszem uwzględnieniem sztuk polskich.

W najbliższym sezonie grane będą najnowsze utwory sceniczne Zapolskiej, Nikorowicza, Nowaczyńskiego, Perzyńskiego, Krzywoszewskiego, Przybyszewskiego, Rzewuskiego i innych.

Angażując artystów (tak, jak teatr miejski w Krakowie i we Lwowie) za całorocznymi kontraktami, nowa scena rozporządzać będzie doborowym materyałem aktorskim (siły artystyczne pozyskano przeważnie z warszawskiej imprezy Choroszczy), poddanym wytrawnej pieczy reżyserskiej znakomitej autorki Gabryeli Zapolskiej. Pozyskano również za rocznemi umowami pierwszorzędne siły artystyczne na gościnne występy. Do stałej komisyi artystycznej, czuwającej nad wybitnym kierunkiem literackim sceny, weszli: Adam Krechowiecki, Jan Kasprowicz, Gabryela Zapolska, Adam Zagórski, Kornel Makuszyński, Stanisław Wasylewski i Jan Pietrzycki, któremu powierzono dyrekcyę nowego teatru. Instytucyi nowej wróżyć należy wielkie powodzenie. Do rozwoju jej i osiągnięcia jak najlepszych rezultatów przyczyni się niemało poważna podstawa finansowa, na której rzecz została oparta.

Sezon obliczony jest na ośm miesięcy, w lecie zaś grać będzie teatr w Zakopanem.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Ogłoszenie nazwisk laureatów konkursu esperanckiego na wystawie architektonicznej.

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

21) Tłum. z francuskiego.

Sędzia przeczytał list, który pomimo haniebnych błędów ortograficznych zainteresował go bardzo:

„Panie Szefie bezpieczeństwa!

Mam w ręku dowód, że doktor Vanesco wraz ze swą kochanką, Lianą de Valois — uplanował morderstwo pewnej osoby, żeby otrzymać asekurację. Jestem do usług pana, chętnie dostarczę wyjaśnień, które mogą być panu użyteczne. Czekam na odpowiedź.

Justyna Vernon".

— No i cóż pan na to powie? — zapytał pan Ducroc.

— Myślę, że Elza Stephenson ucieszyłaby się bardzo widokiem tego listu.

— List ten jest podyktowany przez chęć zemsty, to jasne — rzekł szef bezpieczeństwa, zażywając potężny niuch tabaki. — Musimy sprawdzić wiarogodność zeznań tej, co to pisała.

— Oczywiście; ale potwierdza on to, co mówiła mi panna Stephenson i co do mnie, jestem prawie przekonany, że to wszystko prawda.

— Sprawdzimy to zaraz.

Mówiąc to, pan Ducoroc wyciągnął rękę do dzwonka, ale zatrzymał się.

— Dobrze by było, gdybyśmy mieli kogoś pod ręką, kto spisywałby te zeznania... Pod wpływem gniewu ludzie łatwo zeznają, a potem cofają się. Skoro zaś podpiszą...

— Ma pan słuszność — zgodził się sędzia. — Zatelefonuję po mego pisarza — będzie tu za parę minut. — Po przybyciu pisarza, pan Ducroc kazał wezwać Justynę Vernon.

— Proszę, niech pani usiądzie — rzekł szef bezpieczeństwa swym najsłodszym głosem, wskazując fotel. Pokojówka usiadła, zmieszana nieco widokiem trzech czarno ubranych mężczyzn, z których dwaj przyglądali się jej z zaciekawieniem.

— Pani imię i nazwisko? — zapytał pan Ducroc.

— Justyna Vernon.

— Zajęcie?

— Jestem pokojówką.

— U kogo?

— U panny Liany de Valoys.

Poczem dodała, jakby pragnąc podkreślić to zdanie i nadać mu większą wartość:

— Kochanki doktora Vanesco.

— Dobrze — rzekł pan Ducroc, rzucając sędziemu znaczące spojrzenie. — Zechce mi pani teraz powiedzieć, co panią skłoniło do napisania tego listu z oskarżeniem.

— Chęć zapobiegnięcia zbrodni, o której dowiedziałam się wypadkiem.

— Tylko? Tylko to? — zapytał pan Ducroc, patrząc badawczo na młodą dziewczynę. — A czy nie miała też pani chęci zemsty?

— A więc tak! — wybuchnęła Justyna — chciałam się zemścić. Zostałam zbita, sponiewierana, wypędzona, jak ostatnia z ostatnich! A zresztą i tak nie mogłam pozostać w domu, gdzie się umawiają o morderstwo.

— O! O! — rzekł pan Ducroc ze spokojem. — Ale pani musi wiedzieć, że mnie słowa nie wystarczają. Czy ma pani jaki dowód?

— Naturalnie, mam nawet dwa. Proszę.

Wyjęła z za gorsu listy doktora Vanesco i podała je panu Ducroc. Ten przeczytał je uważnie i podał, nic nie mówiąc, sędziemu.

— Dziękuję pani — rzekł wreszcie. — Jeden z tych listów, ten złożony z kawałeczków, wystarcza nam zupełnie. Drugi będzie odcyfrowany. Bez względu na to, dlaczego pani zrobiła to doniesienie, wyrządza tem pani sprawiedliwości wielką przysługę, o której będziemy pamiętali. O ile się nie mylę, to pani ma nam jeszcze coś do powiedzenia w tej sprawie?

— Tak jest, panie szefie bezpieczeństwa.

— Proszę więc opowiedzieć nam wszystko.

Justyna nie dała sobie powtarzać tego dwa razy. Opowiedziała ze wszystkiemi szczegółami scenę między Lianą i doktorem, którą podsłuchała, nie zapomniała powtórzyć dziwnych słów, jakie wyrzekła wówczas Liana: „Wie pan dobrze, że mnie nie można zahypnotyzować", i wreszcie zakończyła opowiadanie uwagą:

— Pan Ferdynand musi o tem wszystkiem więcej wiedzieć.

— Jak się nazywa i gdzie mieszka?

— Ferdynand Bagnel, ulica Colisée nr. 30.

Pan Ducroc zanotował to sobie.

— Niema pani nic więcej do powiedzenia? — zapytał, widząc, że pokojówka zamilkła.

— Nie — odparła, usiłując przypomnieć sobie, czy czego nie zapomniała.

— A, tylko to jeszcze — dodała nagle. — Panna de Valoys chowa wszystkie listy od doktora i wogóle ważniejsze papiery w sekretarzyku, który stoi w jej sypialni. Zdaje mi się, że tam można znaleźć bardzo ciekawe rzeczy.

— Dobrze. Skorzystamy z tej wiadomości. Tym razem to już wszystko?

— Tak jest.

— Dziękuję pani. Teraz przeczytamy pani jej zeznanie, i jeżeli nie znajdzie pani tam nic do zmienienia — pozostaje pani tylko podpisać.

Po odczytaniu protokołu przez pisarza, Justyna podpisała się pewną ręką i pożegnała urzędników. Gdy zostali sami, pan Ducroc rzekł:

— No i cóż, dziwi się pan, drogi panie de Chaivet?

— Ani trochę. Zawsze podzielałem pańskie zdanie co do doktora Vanesco.

— A więc postawmy jasno kwestyę... Fabrykant mumii?

— Podejrzewałem go już wówczas, gdy zeznawał w mojem biurze na drugi dzień po zniknięciu barona Collet. Była tam wówczas także ta kobieta, chora na zanik pamięci.

— Tak — westchnął szef bezpieczeństwa — ale nie mieliśmy dowodów. Żadnych dowodów. Biedny Sebastyan Blanc sądził, że je odnajdzie i nie zdołał doprowadzić swej pracy do końca... Teraz zaś mamy dowód.

— Conajmniej — dowód zamierzonej zbrodni.

— Niech pan będzie spokojny, będzie to zarazem dowodem, że Vanesco jest Fabrykantem mumii. Teraz musimy działać śpiesznie, żeby nie zdążył się przygotować do obrony.

— Co pan zamierza uczynić?

— Ten list wystarcza, żeby wydać rozkaz aresztowania. Otóż poproszę pana o dwa, jeden dla doktora Vanesco, drugi dla Liany de Valoys.

— Dobrze. Cóż dalej?

— Dziś wieczorem każę aresztować oboje.

— Pan pozwoli, — Vanesco zaprze się wszystkiego.

— Niech się zapiera — rzekł pan Ducroc, wzruszając ramionami — mamy przecież dowód, list jego własnoręczny.

— Tak, ale co panu szkodzi zdobyć jeszcze jeden dowód, równie niezbity?

— O czem pan mówi?

— O wykonaniu planu, proponowanego przez pannę Stephenson. Da mi pan dwu ajentów, którzy będą świadkami zbrodni otrucia.

— Ma pan słuszność. Dam panu tych ajentów.

— Dziękuję panu, dziękuję w imieniu tej dzielnej dziewczyny, którą zaraz o tem zawiadomię. Nie zawiodłem się na panu.

Mówiąc to pan de Chaivet powstał i obaj urzędnicy uścisnęli sobie serdecznie dłonie.

— Tymczasem — rzekł pan Ducroc z ironicznym uśmiechem — przygotuję się do odegrania komedyi, zanim nie dojdziemy do dramatu.

— Jakto?

— Mam zamiar przyjąć doktora Vanesco jako lekarza.

I pan Ducroc uśmiechnął się z zadowoleniem.

ROZDZIAŁ XI.

Komedya.

Doktor Vanesco zastał szefa bezpieczeństwa w jadalni, kończącego drugie śniadanie i popijającego kawę. Widząc wchodzącego lekarza, pan Ducroc uśmiechnął się wesoło i wyciągnął doń przyjacielsko rękę.

— Ba! — zawołał Vanesco, uśmiechając się także — widzę, że nie jest z panem tak źle, jak przypuszczałem, drogi panie Ducroc. Sądziłem, że pana zastanę w łóżku, wijącego się z bólu, a tu pan siedzi sobie przy stole, wesoły, jak rzadko.

— O! wesoły! — zaprotestował pan Ducroc, krzywiąc się. — Poprostu cierpię trochę mniej niż zwykle i nie mam gorączki.

Vanesco wziął go za puls i wyjął zegarek.

— Zawdzięczam to temu — ciągnął szef bezpieczeństwa, że, czując zbliżający się atak, zażyłem lekarstwa, które mi pan zapisał.

— Doskonale — rzekł Vanesco, chowając zegarek — leczyć pana — to prawdziwa przyjemność. Pan pozwoli, że obejrzę nogę?

Nie czekając na odpowiedź chorego, odwinął ostrożnie bandaże i przyjrzał się chorej nodze.

— No, tym razem to się prędko skończy. Niech pan przykłada kompresy, a ręczę, że za dwa dni będzie pan zdrów.

— Cudownie!

— Tylko — ciągnął dalej Vanesco tonem napół seryo, nawpół żartobliwym — powtarzam panu, że trzeba być wstrzemięźliwym.

— Ach! doktorze, parę kieliszków szampana...

— Właśnie! Widzi pan, co z tego wynika.

— Ależ, czemże u licha mam się zajmować, drogi panie? Żadnych spraw, nic, zupełna cisza!

— Rzeczywiście, to się panu musi wydawać dziwnem po tem życiu tak ruchliwem, pełnem sensacyjnych zbrodni, tajemniczych zniknięć, zagadek, do jakich przyzwyczaił pana Fabrykant mumii.

— Tak — i niech pan sobie wyobrazi, że brak mi teraz tej gorączkowej działalności, tych wzruszeń, niepokojów, trudów! Przytem w tej walce zaciętej — nie ja byłem zwycięzcą.

— No, ale w każdym razie skończył pan z nim.

— Raczej on skończył ze mną.

— Ostatecznie, tak czy inaczej — Fabrykant mumii wycofał się z walki.

— Tak, ale uczynił to nie ze względu na mnie. Prawdopodobnie zdobył mnóstwo pieniędzy i przeżywa je teraz w spokoju.

— Sądzi pan, że wygrał wielki los na loteryi?! — zawołał Vanesco z ironicznym uśmiechem.

— Albo też wziął milionowy posag — odparł pan Ducroc, przyglądając się lekarzowi z niemniejszą ironią. Ten hultaj zdolny jest do wszystkiego. Spojrzenia obu mężczyzn skrzyżowały się jak dwie szpady. Vanesco ani drgnął.

— Albo też umarł — rzekł po chwili. — Takie monstra, dokoła których opinia publiczna wytwarza istne legendy — znikają nagle, tak samo, jak pojawiają się. Niech pan sobie przypomni „Kubę rozpruwacza", który tak długo wymykał się policyi angielskiej, którego żaden detektyw nawet nie widział na własne oczy. Pewnego pięknego poranku znikł i nikt już o nim nie słyszał. Co się z nim stało? Tajemnica. Jestem pewny, że tak samo było i z tym Fabrykantem mumii. Niech pan tylko pomyśli, od roku z górą nie dał o sobie znaku życia.

— A więc — pokój jego pamięci, chociaż nadręczył mnie dyabelnie. Nie mówmy o nim więcej.

Poczem uśmiechając się wesoło, pan Ducroc dodał:

— Co pan powie, drogi doktorze o kieliszku dobrego Porto? Mam buteleczkę, pochodzącą z piwnic króla hiszpańskiego, który przysłał mi całą skrzynkę na pamiątkę usług, jakie mu oddałem podczas jego pobytu w Paryżu. Nigdy pan nie pił nic podobnego. Istny aksamit.

— Ej, panie Ducroc, panie Ducroc! — rzekł Vanesco grożąc palcem... I pan o takich rzeczach myśli! Przy podagrze.

— Ba! — odparł urzędnik, wzruszając ramionami — jedna kropla więcej!

ROZDZIAŁ XII.

W imieniu prawa!

Godzina pierwsza w nocy. W pałacu Vanesco panuje zupełna cisza. Równo o dziesiątej — Zuzanna położyła się do łóżka. Leży bez ruchu, czekając na rozwiązanie tragedyi. Zdaje się jej, że słyszy jakieś szepty i że jakiś głos powtarza bezustannie:

— To się stanie zaraz! zaraz! zaraz!

Wsparta na łokciu wytęża wzrok i słuch, drżąc przy najbliższem szmerze. Nic jednak nie widzi ani nie słyszy wyraźnego.

Czyż nie przyjdzie?

W chwili, gdy zadawała sobie to pytanie po raz tysiączny, usłyszała turkot automobilu, który zatrzymał się przed pałacem. Rozległ się dźwięk dzwonka. Drzwi wchodowe otworzyły się i zamknęły z hałasem. To on! Serce poczęło jej bić gwałtownie, złożyła głowę na poduszce, ale oczu nie zamknęła, patrząc wciąż na drzwi.

Nagle drgnęła. Usłyszała lekki szelest. Nareszcie! Drzwi otworzyły się powoli i wsunął się przez nie do pokoju ciemny kształt. W świetle lampki nocnej Zuzanna poznała męża. Ostrożnie, bez szmeru podszedł do łóżka. Wstrzymując oddech, nachylił się nad leżącą. Słuchał przez chwilę, potem wyjął z kieszeni flaszeczkę z kroplomierzem i począł wlewać jej zawartość do szklanki stojącej na stoliku nocnym. W tej chwili usłyszał za sobą szelest — drgnął i chciał się obrócić, ale było już az-

późno. Jakaś ręka uderzyła go po ramieniu i jakiś głos zawołał w ciszy nocnej:

— Doktorze Vanesco, w imieniu prawa, aresztuję pana!

Vanesco szarpnął się gwałtownie, ale druga ręka spoczęła na drugiem jego ramieniu. Dwu potężnych drabów unieruchomiło go. Zrozumiał, że opór byłby daremny i że wpadł w pułapkę, sprytnie zastawioną. Niemniej starał się bronić i zapytał z oburzeniem:

— Co to ma znaczyć?

Ale ajenci, nie odpowiadając, wyprowadzili go z pokoju, żeby oszczędzić młodą kobietę, która wiła się na łóżku w straszliwym ataku nerwowym. Vanesco z podniesioną głową protestował przeciw gwałtowi, grożąc i krzycząc:

— Czy powiecie mi wreszcie, co to ma znaczyć? Jakiem prawem pozwalacie sobie na taki gwałt? Strzeżcie się! Zapłacicie mi za to drogo! Szef bezpieczeństwa jest moim przyjacielem!

— Szef bezpieczeństwa! — odparli drwiąco ajenci — z jego właśnie rozkazu tu jesteśmy! To on nam polecił aresztować pana. Mamy rozkaz na piśmie.

— Rozkaz aresztowania! — krzyknął Vanesco z udanem zdumieniem, gdyż oczekiwał na to oznajmienie. — Ale — cóż uczyniłem? O co jestem oskarżony? Powiedzcie mi to przynajmniej!

— Odpowiem panu — rzekł jeden z ajentów — chociaż pan wie o tem równie dobrze, jak i ja... Jest pan oskarżony o usiłowane otrucie swej żony...

— Co? — zawołał lekarz z oburzeniem, doskonale odegranem. — Ja chciałem otruć swą żonę? Ja? Ja? — I dodał wzruszając ramionami:

— Nie, to niema sensu! Nie aresztuje się człowieka w jego własnym domu, w nocy pod pretekstem takiego zarzutu, który nie wytrzymuje krytyki! Bez żadnego dowodu!

— Dowody mamy — odparł ajent, zmieszany nieco pewnością siebie lekarza,

— Jakie dowody?

— To nie do nas należy. Wytłumaczą to panu jutro pan Ducroc i sędzia śledczy.

I ajent dodał tonem stanowczym, chociaż grzecznym:

— A teraz proszę iść z nami i nie zmuszać nas do użycia siły... Chodźmy, panie!

. . . .

Tegoż wieczora Liana de Valoys jadła obiad z Ferdynandem. Młoda kobieta nie posiadała się z radości. Po straszliwych wstrząśnieniach — nastąpiła zgoda. Jedli obiad w ogrodzie, w cieniu olbrzymich drzew, otaczających jej pałacyk. Liana siedziała uaprzeciwko kochanka i patrzyła mu w oczy z ubóstwieniem.

Nagle rozległy się kroki i głos, wołający:

— Proszę pani! Proszę pani!

Chłopak ubrany w liberyę ze złotemi guzikami — zbliżył się, zmieszany.

— Co się stało? — zapytała Liana z gniewem. — Tyle razy mówiłam, żeby nam nie przeszkadzano!

— Proszę darować — wyjąkał chłopak — ale jakichś dwu panów chce się z panią widzieć.

— Nie przyjmuję nikogo o tej porze, powinieneś o tem wiedzieć... powiedz im, żeby przyszli jutro.

— Proszę pani — oni mówią, że... że muszą się zaraz widzieć z panią.

— Zaraz?! Widział kto coś podobnego? — zawołała Liana z wściekłością. Czy już nie jestem panią we własnym domu? Ruszaj i wypraw mi tych panów! Zrozumiano?

Ale w parę minut po zniknięciu chłopca — w ogrodzie zjawili się dwaj mężczyźni o postawie wojskowych, ubrani czarno.

Ferdynand zadrżał; znał już skądś te figury.

Przybyli zbliżyli się powoli do stołu, przy którym siedziała para kochanków. Jeden z nich trzymał w ręku jakiś papier, — skłonił się grzecznie i zapytał, z kapeluszem w ręku:

— Panna de Valoys, jak sądzę?

— We własnej osobie, panie — odparła Liana — chciałabym wiedzieć, co ma znaczyć to najście?

— Niestety! pani — odparł nieznajomy z ironią — wolałbym nie tłumaczyć pani tego.

I podając jej papier, który trzymał w ręku — dodał:

— Oto jest rozkaz aresztowania pani, panno Liano de Valoys.

Młoda kobieta wyrwała mu papier i poczęła czytać ze zdumieniem i wściekłością, nie będąc w stanie nic zrozumieć.

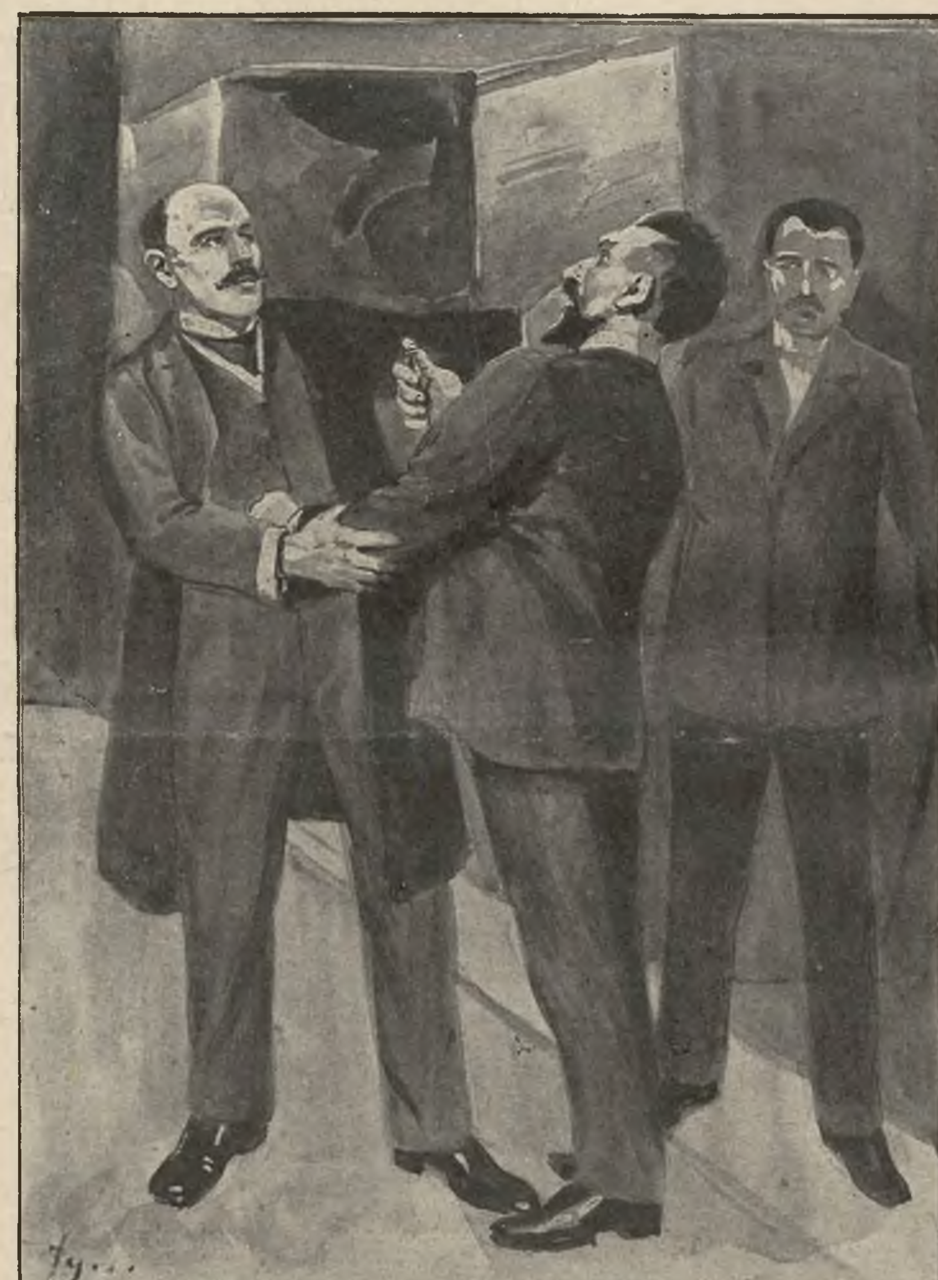
— O! rzekł ajent — może pani sprawdzić — jest zupełnie w porządku.

Liana stała przez chwilę nieruchomo, nie mogła przyjść do siebie. Wreszcie wyrwał się jej okrzyk:

— Ale co ja zrobiłam? Za co mnie aresztują?

— Dowie się pani o tem później; wyjaśnienia do mnie nie należą. Zresztą nic nie wiem. Jestem zwykłym ajentem, który spełnia otrzymane rozkazy. Więc proszę się nie dopytywać.

Liana spojrzała z rozpaczą na swego kochanka, jakby prosząc go o pomoc. Ale piękny Ferdynand, który nie czuł się zupełnie pewnym siebie wobec ajentów — nie patrzył na nią. Bał się skompromi-



— Doktorze Vanesco, w imienin prawa aresztuję pana!

tować i łamał sobie głowę nad sposobem łatwego wymknięcia się. Ale z drugiej strony ucieczka mogłaby tylko wzbudzić podejrzenia.

Ajenci nie zwracali na niego uwagi. Lepiej więc było stanąć po ich stronie i skłonić Lianę do posłuszeńswa. Liana dała mu do tego sposobność, zwracając się do niego:

— Co mam robić, Ferdynandzie, poradź!

— E, — proszę pani — odparł młody człowiek, kładąc nacisk na wyrazie „pani“ — sądzę, że niema się nad czem namyślać. Powinna pani udać się z tymi panami.

— Dobrze! — rzekła Liana tonem smutnej rezygnacyi. — Chodźmy, panowie.

— O, nie! — odparł ajent. — Nie możemy tak stąd odejść. Musimy dopełnić najcięższego obowiązku.

— Cóż jeszcze? — zapytała Liana z przerażeniem.

— Zechce pani nas zaprowadzić do swej sypialni — rzekł ajent.

— Do sypialni? A to po co?

— Niech się pani nie opiera — wtrącił znowu Ferdynand. — Proszę robić, o co proszą ci panowie.

— Jest to w pani interesie — dodał ajent z perswazyą.

W sypialni ajent rzekł tonem, nie znoszącym oporu, wskazując małe biurko w stylu Ludwika XVI:

— Proszę o klucz od tego biurka.

— Co to, to nie! — zawołała Liana.

Ajenci zamienili ze sobą spojrzenie.

— Dobrze, będziemy więc musieli użyć siły. Więc odmawia pani klucza?

— Nie! Nie! Nie dam!

— Liano, nie upieraj się! To nic nie pomoże! Wiesz przecie, że otworzą mimoto i twoja odmowa będzie ci postawiona jako zarzut.

Po raz pierwszy Ferdynand przemówił do niej serdecznie. Czuła, że mówił szczerze. Zresztą nie miał racyi szkodzić jej. Pozatem co ryzykowała? Listy w biurku mogły skompromitować doktora Vanesco. Niech go skompromitują!

— Proszę! Oto klucze! — rzekła rzucając je na ziemię. — Szukajcie, szukajcie, ile się wam podoba! Nie krępujcie się!

W jednej chwili biurko było otworzone i ajenci zabrali całą paczkę listów, związanych niebieską wstążką.

— Teraz — rzekł pierwszy z nich, zapinając surdut i kłaniając się grzecznie — jeśli pani pozwoli, pójdziemy... Dorożka czeka na dole...

Liana blada, jak płótno, włożyła okrycie i kapelusz i zeszła machinalnie ze schodów. W drzwiach odwróciła się nagle i, łkając padła w objęcia Ferdynanda.

— Chodźmy! Chodźmy! — zawołał ajent zniecierpliwiony.

Wsiadając do dorożki, Liana odwróciła się jeszcze i posłała kochankowi pocałunek.

— Do widzenia, mój drogi!

— Do widzenia! — powtórzył Ferdynand bez zapału.

Dorożka odjechała.

ROZDZIAŁ XIII.

Badanie.

Na drugi dzień po aresztowaniu Liany i doktora Vanesco — w gabinecie sędziego śledczego siedzieli panowie Ducroc, de Charvet i pisarz.

— Wprowadzić oskarżoną! — rozkazał pan de Charvet woźnemu, który stawił się na dzwonek.

Weszła Liana de Valoys i skinęła lekko głową urzędnikom, którzy odpowiedzieli grzecznie na ukłon.

— Panowie, zlitujcie się nademną! O co jestem oskarżona? Co uczyniłam?

Sędzia śledczy uspokoił ją gestem.

— Zechce pani usiąść. Pani imię i nazwisko?

— Liana de Valoys.

— Przepraszam. Zdaje mi się, że pani mnie nie zrozumiała. Nazwisko, jakie pani podała, jest to nazwisko... jakby to powiedzieć? zawodowe?

— To prawda... Nazywam się naprawdę Julia Bousquet.

— Doskonale. Zechce mi pani teraz powiedzieć, jakiego rodzaju stosunki łączą panią z doktorem Vanesco?

— Och! — odparła Liana z lekkiem drżeniem. Jest to zwykła przyjaźń, nic więcej.

— Jednakże, twierdzą ogólnie — proszę mi darować brutalność wyrażenia, że jest pani jego kochanką.

— Byłam nią. Ale od dłuższego czasu stosunki nasze są zupełnie platoniczne. Dodam jeszcze, że widujemy się bardzo rzadko.

— Być może. Niedawno jednak była pani u niego. Czy może mi pani wyjaśnić cel tej wizyty?

Liana zadrżała po raz drugi. Pan de Charvet zrozumiał, że dotknął słabego punktu.

— Mój Boże! — odparła młoda kobieta bez wahania. — To bardzo proste. Byłam cierpiącą i chciałam zasięgnąć jego rady jako lekarza.

— Nie, pozwoli pani, że zaprzeczę temu.

— A więc — rzekła Liana z wymuszonym uśmiechem — może zechce mi pan powiedzieć, po co tam byłam, skoro pan wie lepiej odemnie.

— Wiem nie lepiej — lecz równie dobrze, jak pani i dowiodę tego. Była pani u doktora Vanesco, gdyż potrzebowała pani pieniędzy.

— Pieniędzy? Ja?

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Urzędnicy poczty krakowskiej, władający Esperantem. (Do art na str. 7).



We własnej siedzibie: Grupa członków komisyi budowlanej i zarządu „Stow. pracowników handlowych wyznania Mojżeszowego" w Warszawie.



We własnej siedzibie: Uroczystość założenia kamienia węgielnego pod budowę własnego gmachu „Stowarzyszenia pracowników handlowych wyznania Mojżeszowego" w Warszawie. (Fot. M. Fuks, Warszawa).

We własnej siedzibie.

Jak wiadomo, jedna z ruchliwszych instytucyi, „Stowarzyszenie pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy" rozpoczęło już budowę własnego gmachu, który stanowić będzie nowy etap w rozwoju tego pożytecznego stowarzyszenia. Obecnie przystąpiło do budowy własnej siedziby istniejące w Warszawie „Stowarzyszenie pracowników handlowych wyznania Mojżeszowego". Własny gmach tego stowarzyszenia stanie na posesyi Nr. 25 przy ul. Zielnej. Będzie to gmach 5 piętrowy, w którym parter, pierwsze i drugie piętro przeznaczone być mają na lokale klubowe, przyczem na parterze mieścić się będzie sala balowa z galeryą. Koszt tego gmachu wyniesie 170.000 rb.

Budowę już rozpoczęto, a w tych dniach odbyła się uroczystość położenia kamienia węgielnego pod nowy gmach. Prezes stowarzyszenia, p. M. Zeliger, odczytał akt, spisany na pergaminie, który łącznie z dziennikami i monetami umieszczony został w puszce blaszanej, a następnie zamurowany w fundamentach.

Targ koszykarski w Krakowie.

Wśród wielu gałęzi przemysłu, które w Galicyi są prowadzone na szerszą skalę, niepoślednie miejsce zajmuje przemysł koszykarski. Aby zaznajomić publiczność i kupców z wyrobami w tym zakresie, urządziła Liga Pomocy Przemysłowej duży targ koszykarski w Krakowie. Obejmuje on wyroby koszykarskie, słomiane, szuwarowe, oraz surowce, jak wiklinę i szuwar. Wystawione są także wszystkie narzędzia, jakie do koszykarstwa są potrzebne. Targ ma na celu dać przegląd naszej krajowej wytwórczości na tem polu, oraz zaznajomić wielkich hurtowników, zwłaszcza zagranicznych, z towarami u nas wyrabianymi.

Targ urządzony został w wielkiej sali „Sokoła" krakowskiego. Wzięło w nim udział przeszło 60 firm krajowych, wśród nich bardzo wiele poważnych.

Na sali w pięknych grupach rozstawiono meble koszykowe, kosze, wyroby szczotkarskie, ozdobne wyroby trzcinowe, zabawki i t. p. Każdy przedmiot ma zarazem przypiętą cenę, tak, iż zwiedzający łatwo mogą się oryentować. Wśród wielu firm najładniejsze okazy wystawiły Krajowy Związek Przemysłowy, Tow. koszykarskie w Wiązownicy, Spółki koszykarskie z Gdowa, Oleska, Gaci, szkoły koszykarskie z Zatora, Rudek, Leżajska, pracownia koszykarska w Albigowej i wiele innych.

Dzięki zabiegom Ligi Pomocy Przemysłowej przybyli na targ bardzo liczni kupcy zagraniczni. Dnia 17 b. m. zaś odbyła się na targu ankieta w sprawie uprawy wikliny koszykarskiej oraz konferencye plantatorów wikliny z koszykarzami.

Obradom ankiety przewodniczyli dyr. Dąbrowski z Wiązownicy, ks. Onyszkiewicz i dyr. Ligi Olszewski. Trwały one przez cały dzień a przyniosły bogaty materyał praktyczny.

Targ zwiedzany jest przez liczną publiczność, a sprzedaż wystawionych przedmiotów odbywa się dosyć żywo, do czego przyczyniają się bardzo niskie ceny wyrobów.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Powitanie wycieczki esperantystów na dworcu w Zakopanem. (Fot. „Tatry", Zakopane).

Kronika tygodniowa.

Dzięki Bogu, wakacye już się kończą — powiadają jedni ze słomianych wdowców, którzy rzeczywiście przykładnie spędzili ten czas na wzdychaniu do wygód domowych i domowego wiktu, czego brak dawał się im we znaki w czasie nieobecności czcigodnych małżonek.

— Bo to, uważa łaskawy pan — powiada do mnie onegdaj jeden z nich u Wentzla — nikt tak nie potrafi człowiekowi dogodzić, jak rodzona żona!... Ona już zna wszystkie nawyczki, wie, co się lubi, a czego nie... Służąca, choćby nawet najwprawniejsza, to przecież osobnik, który pracuje za zapłatę, a nie powoduje się miłością... Ja tam, kochany panie, liczę dni i godziny i nie mogę się doczekać powrotu mej poczciwej Basi...

— A ja przeciwnie, kochany radco — odrzekłem po chwili — nie miałbym nic przeciw temu, by moja Kundzia, która bawi w Zakopanem, nie miała sobie przeciągnąć pobytu w Tatrach choćby nawet w nieskończoność... Powiem radcy nawet na ucho, ale proszę mnie nie zdradzić przypadkiem, że onegdaj, wyczytawszy w pismach codziennych wiadomość o zaginięciu pewnej turystki, cieszyłem się, że to może ona, bo już dwa tygodnie nie dawała o sobie ani znaku życia... Niestety, to nie ona, ale jakaś pani Zielińska z Warszawy...

— Tak, tak! Już ja was znam, wy farmazony, dla was niema nic świętego! Ongiś, toście bieduym kobietom przysięgali wierność dozgonną, a dziś każdy z was kontent, jeśli bodaj na krótki czas może się pozbyć żony... Ot!... A gdzie pan masz ślubny pierścionek? Hę?...

— Dałem go oczyścić, aby się świecił, gdy żona powróci!

— Ehe! Myślisz pan, że ci uwierzę! Nie mnie, starego wróbla, brać na plewy... Zresztą i ja sam nie byłem lepszy... pardon!... chciałem powiedzieć, napatrzyłem się dość na was i nasłuchałem dość o tem, bo mnie to zawsze interesowało...

— A widzi pan dobrodziej!...

— W każdym jednak razie z ręką na sercu mogę wyznać, że żonie nie sprzeniewierzyłem się ani razu, a przy jej boku czuję się zupełnie inaczej... Wiem, że będę miał wszystko na czas i jak się patrzy przyrządzone... A tymczasem wam co innego w głowie... Ponieważ kończą się wakacye, a żona lada dzień ma powrócić do Krakowa, postaraliście się o ogłoszenie w gazetach, że w mieście i okolicy panuje straszna dysenterya... A to blaga, panie łaskawy!... Wy chcecie tylko przestraszyć swe żony i nakłonić je do dłuższego pobytu na wsi, byście tymczasem mogli używać wolności i swobody!... Ho! Ho! Znam ja was doskonale...

— Co też pan mówi!...

— Jak Boga kocham, tak jest, a nie inaczej! Jeśli mi pan nie wierzy, spytaj pan o to fizyka miejskiego, pana Janiszewskiego! On panu powie! czy byłby wyjeżdżał na urlop, gdyby zapanowała taka zaraza... Aha!... A widzisz pan jakeś się szpetnie złapał...

Ostatecznie przyznałem racyę czcigodnemu radcy, że na starość, gdy się jest już kompletnym, tak jak on niedołęgą, dobrze mieć blizko siebie jakieś kochające serce (byle ono jednak nie „biło" zbyt głośno) i wyraziłem radość, że wzmianki o dyzenteryi są tylko zwyczajnemi kaczkami kanikularno-ogórkowemi.

Koniec końców stwierdzić należy, że teraz nastały najgorsze czasy, bo wyjechała operetka, rozjechały się esperanty i wymaszerowało wojsko na manewry, co nasze Kasie i Marysie tak boleśnie dotknęło, że moja n. p. kapłanka ogniska domowego przez trzy dni z rzędu podawała mi przypalone potrawy. Ale ja się ostatecznie nie bardzo o to gniewałem, mając w ten sposób pretekst do wyjścia z domu na kolacyę do miasta.

Udawałem naturalnie wściekłość, klnąłem na czem świat stoi, w duchu jednak mówiłem sobie: Poczciwa ta Marysia!...

Bo trzeba Państwu wiedzieć, że moja magnifika wzięła się na sposób, wyjeżdżając na wakacye. Jako cerbera zostawiła mi premjowaną kilkakrotnie służącą, która już od trzydziestu lat służy u jednej i tej samej rodziny i poleciła jej, by codziennie zapisywała skrupulatnie, o której godzinie i w jakim stanie powrócił pan do domu, kiedy jadł obiad za domem i dlaczego, kto go odwiedzał...

Te notatki wpadły mi przypadkiem w rękę, a choć właściwie nie mam z tego czasu nic tak ciężkiego na sumieniu, bym się z tego przed trybunałem domowym oczyścić nie potrafił, zawsze lepiej stanąć przed nim czystym, niż podejrzanym.

A przyznam się szczerze, że właśnie w czasie wakacyi spóźniłem się kilka razy do domu na kolacyę, ponieważ zaś jestem bardzo oszczędnym, więc, aby nie płacić niepotrzebnie stróżowi za bramę, wolałem tę szóstkę obrócić na inny cel. Powędrowałem do Bisanza, potem do Rosenstoka i tak dalej i dopiero nad ranem wrócił człowiek do domu.

Kilka takich pozycyi widnieje w raporcie mojej Marysi...

Otóż, aby ten raport nie dostał się wogóle w niepowołane ręce (t. j. w szpony mojej magnifiki) postanowiłem wyzyskać każdą sposobność, bo nie wypada, bym miał o to prosić Marysię, lub starał się ją przekupić.

Takie jednak zdarzenia, jak n. p. przypalenie pieczeni, mogą być bardzo pomocnemi do zawarcia przymierza zaczepno odpornego między mną a Marysią. Ja się muszę gniewać, ona musi się starać mnie przebłagać, straszę ją bowiem ciągle, że będzie się mieć z pyszna, gdy pani do Krakowa powróci...

Korzystam więc ze sposobności i na każdym kroku prześladuję ją furwezem, którego niedawno wraz z nią spotkałem na schodach.

— Naturalnie — powiadam z powagą — w starym piecu dyabeł pali... Babsztylowi, któremu do kopy lat brakuje już niewiele, zachciało się żołnierza!... A ty cierp biedaku... I żeby to choć ułan albo dragon, niechby już artylerzysta lub piechotnik, ale furwez!...

— To brat, proszę łaski pana! — odpowiada Marysia zasłoniwszy rąbkiem brudnego i dziurawego fartuszka zapłonione dziewicze lica — ja naturalnie temu nie wierzę i grzmię dalej, co ma ten efekt, że Marysia zbliża się, całuje mnie w rękę i prosi, bym nic o tem nie wspominał pani...

Teraz ja wpadam w słowo:

— A co to Marysia pisuje zawsze wieczorami w tym grubym zeszycie?

— E... to nic proszę pana... Zapisuję wydatki...

— Tak?.. To Marysia chodzi co tydzień do spowiedzi i nie wstydzi się tak bezczelnie kłamać... Ja widziałem przypadkiem ten zeszyt i czytałem, co tam Marysia wypisała... Trzeba tam jeszcze dopisać o tym furwezie...

Popatrzyła na mnie z miną delikwenta, mającego lada chwila oddać głowę pod topór katowski. Poznałem, że zwyciężam, perorowałem coraz głośniej.

Wreszcie Marysia mi przerwała:

— Bo proszę pana, pani kazała mi to wszystko notować, ale ja to spalę jeszcze dziś!

— Nie dziś, tylko zaraz! — odparłem, nie wierząc w szczerość jej zamiarów.

— Dobrze! Zaraz dołożę drzewa do pieca!...

Pomimo podeszłego wieku lekko i zwinnie poskoczyła po drzewo, w kilka minut buchnął jasny ogień, a po chwili pamiętnik zamienił się w garść popiołu.

Z miną wielkiego inkwizytora przypatrywałem się temu *autodafé*, odetchnąłem lżej i powiedziałem w duchu, że trzeba umieć pomagać sobie w każdej sytuacyi!

Odtąd śpię już spokojnie, bo wiem, że Marysia jest moją sprzymierzoną i że już mnie nie zdradzi, zwłaszcza, odkąd jej powiedziałem, że „brata" powinna przyjmować w kuchni, a nie na schodach.

Usłuchała mnie, sam na własne oczy widziałem, jak wczoraj (przeddzień wymarszu wojska) przyniosła dwie kiszki, których przecież sama nie zjadła.

Dajmy jednak spokój sprawom domowym, zajmijmy się czem innem.

O wyjeździe operetki lwowskiej nie będę wspominał, by niepotrzebnie nie rozkrwawiać serca sobie i innym słomianym wdowcom, których „Cnotliwa Zuzanna" zamieniła w swych niewolników, kilka słów poświęcę natomiast esperantystom.

Zapewniają oni, że Kraków podobał im się bardzo, że jest to europejska miejscowość, słowem, że spotkało ich miłe rozczarowanie, gdyż myśleli, że jadą gdzieś do Azyi, a tymczasem tak nie było...

I tutaj słomiani wdowcy mieli sposobność do okazania swego zapału (nie słomianego), niektóre bowiem z uczestniczek (zwłaszcza pewna Hiszpanka wcale rozłożystej postaci), zdobyły sobie wstępnym bojem ich serca. Jeden z mych znajomych od kilku dni chodzi jak struty i ciągle narzeka, co to za szkoda, że nie nauczył się przedtem esperanta i nie mógł poflirtować z nią w międzynarodowym języku...

Na ogół wzięło udział w zjeździe około tysiąc osób, które reprezentowały trzydzieści kilka narodowości, za złośliwy wymysł uważam wzmiankę, jakoby w siedmdziesięciu pięciu procentach należały one do pokolenia Judy.

To stanowczo przesada!

Komitetowi, który zajął się urządzeniem przyjęcia, trzeba przyznać, że wywiązał się znakomicie ze swego zadania, wszystko szło jak z płatka, nawet c. k. poczta funkcyonowała należycie, a tramwaj posuwał się z większą niż zazwyczaj chyżością, ale to tylko w tym kongresowym tygodniu, poczem znów wszystko powróci do dawnego trybu.

Najbardziej namęczyli się niektórzy z krakowskich esperantystów, którzy dla utrzymania honoru grodu Krakusowego łamali sobie język i starali się o prowadzenie konwersacyi esperanckiej. Zazwyczaj kończyły się te wysiłki popularnem: *psiakrew!..* lub również międzynarodowem: *Brech den Kark!*

Dziś nastał już zupełny spokój, pamiątką zjazdu zapomniana tu i ówdzie zielona chorągiewka i resztki ogłoszeń na rogach ulic. Drużyna pana Zamenhofa podążyła do Zakopanego, gdzie ją przyjęto nad wyraz serdecznie.

Gdy my zajmowaliśmy się esperantem, tymczasem na arenie życia politycznego zabrano się wcześniej, niż zazwyczaj, do roboty. Prezes Koła polskiego, dr. Leo, powróciwszy z nad „polskiego morza" konferuje w Wiedniu z różnymi ministrami, ekscellencya Biliński omawia z baronem Wassilką warunki ugody polsko ukraińskiej, pan Jan Stapiński stara się przekonać kuryę rzymską, że odbudowanie państwa kościelnego byłoby tylko wówczas możliwem, jeżeli papież wraz z kardynałami otwarcie przystąpi do stronnictwa ludowego i zabezpieczy swe nieruchomości w lwowskiej „Wiśle".

To jednak wszystko niczem jest jeszcze w porównaniu z wiadomością, jaką nam przyniósł telegraf... Abdul Hamid został ojcem! Wszyscy byli przekonani, że on jest zdeklarowanym staroturkiem-niedołęgą, pokazało się, że jest inaczej! Chyba, że... ale dajmy temu spokój, mogłaby na tem ucierpieć równowaga polityczna na półwyspie bałkańskim, nad której utrzymaniem z takiem zaparciem się pracuje minister Berchtold, iż zgniewało to nawet ekscellencyę Auffenberga. Widoczna, iż radby był ten ostatni, by w Austryi decydowali o polityce jenerałowie, a nie ci, którzy zawodowo „pracują w tym fachu", jakby powiedział sympatyczny kadet Wallerstein, z „Manewrów jesiennych".

Zresztą wogóle powodzi się nam bardzo dobrze, polityką zajmujemy się tylko z konieczności, gdy niema o czem innem mówić, uczęszczamy pilnie na wystawę architektoniczną, która urządziła znów konkurs na najpiękniejszy kapelusz damski, panienki zaś na wydaniu, mające po kilku konkurentów, zwiedzają wystawę koszyków. Każda radaby nabrać wprawy w rozdzielaniu koszów, żadna jednak nie pragnie osiąść na koszu!

A teraz, na zakończenie, bardzo przyjemna dla nas mężów wiadomość! Węgle podrożeją i to już w najbliższym czasie... kto więc ma monetę, niech kupuje zawczasu, potem może być późno!..



Targ koszykarski w Krakowie: Wystawa wyrobów koszykarskich w sali „Sokoła".



W szponach handlarza żywym towarem: Kinematograf (Illusion), przy ul. Nowy Świat w Warszawie, zamieszany w sprawę uprowadzenia nieletniej Heleny Grabowskiej.

W szponach handlarza żywym towarem.

Wielkie miasta pod zewnętrznym blichtrem kryją brudne męty występku i zbrodni. Zwłaszcza młode, niedoświadczone dziewczęta padają ofiarą tego bagna, gnieżdżącego się w zakamarkach życia wielkomiejskiego. Wytworzył się nawet specyalnie proceder handlu żywym towarem, uprawiany przez do-



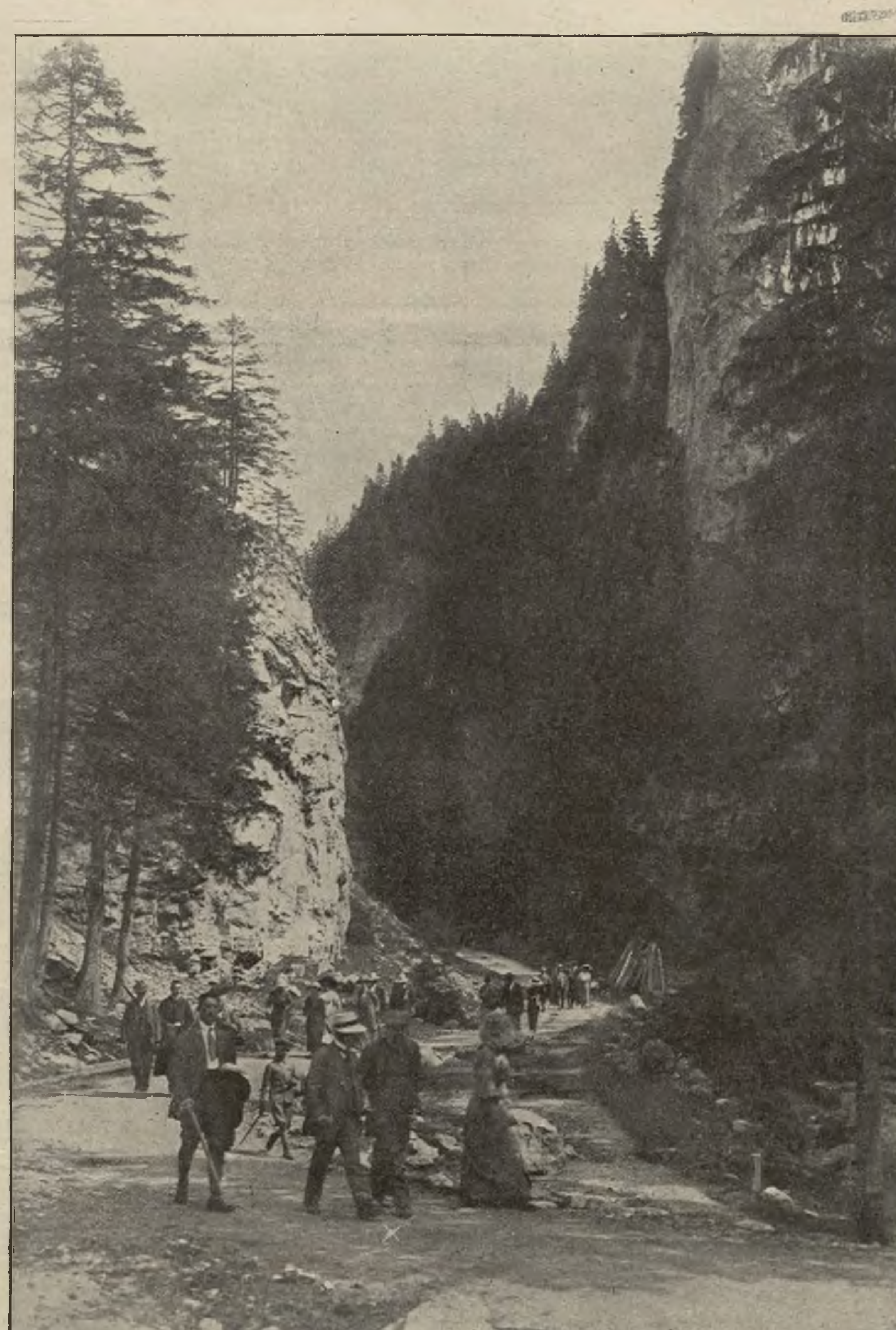
Zbrodnia alkoholika: Ś. p. Andrzej Papiernik.

brze zorganizowane szajki, wobec których władze są prawie bezsilne. Rozstawiają one sidła na swe ofiary, gdzie się tylko da — aby tem łatwiej je



W szponach handlarza żywym towarem: Dwunastoletnia Helena Grabowska, wywieziona przez handlarzy żywym towarem do Kijowa. (Według fotografii z przed dwóch lat).

otumanić. W ostatnich czasach ujawniono, że w jednym z licznych kinematografów na Nowym Swiecie w Warszawie — zarzucano takie sidła na młode dziewczęta... Miały one tam wstęp wolny — a w jakim celu, ujawniła dopiero sprawa zniknięcia 12 letniej Heleny Grabowskiej. Dziewczyna ta wraz z swą starszą siostrą były częstymi gośćmi w kinematografie, aż wreszcie obie znikły bez śladu. Odszukano je dopiero w Kijowie w rękach handlarzy żywym towarem i sprowadzono do rodziców... Jak się następnie okazało, wywiozła obie dziewczyny niejaka Paskówna, która właśnie w wyżej wspomnianym kinematografie prowadziła „narady" z dziewczętami, t. j. zajmowała się faktorstwem.



Z Kongresu esperantystów w Krakowie: Uczestnicy Kongresu zwiedzają dolinę Kościeliską (X) Prof. Bujwid. (Fot. „Tatry", Zakopane").

Illustracye nasze przedstawiają wspomniany kinematograf na Nowym Swiecie i podobiznę uprowadzonej 12 letnej Heleny Grabowskiej (według fotografii z przed 2 lat).

Zbrodnia alkoholika.

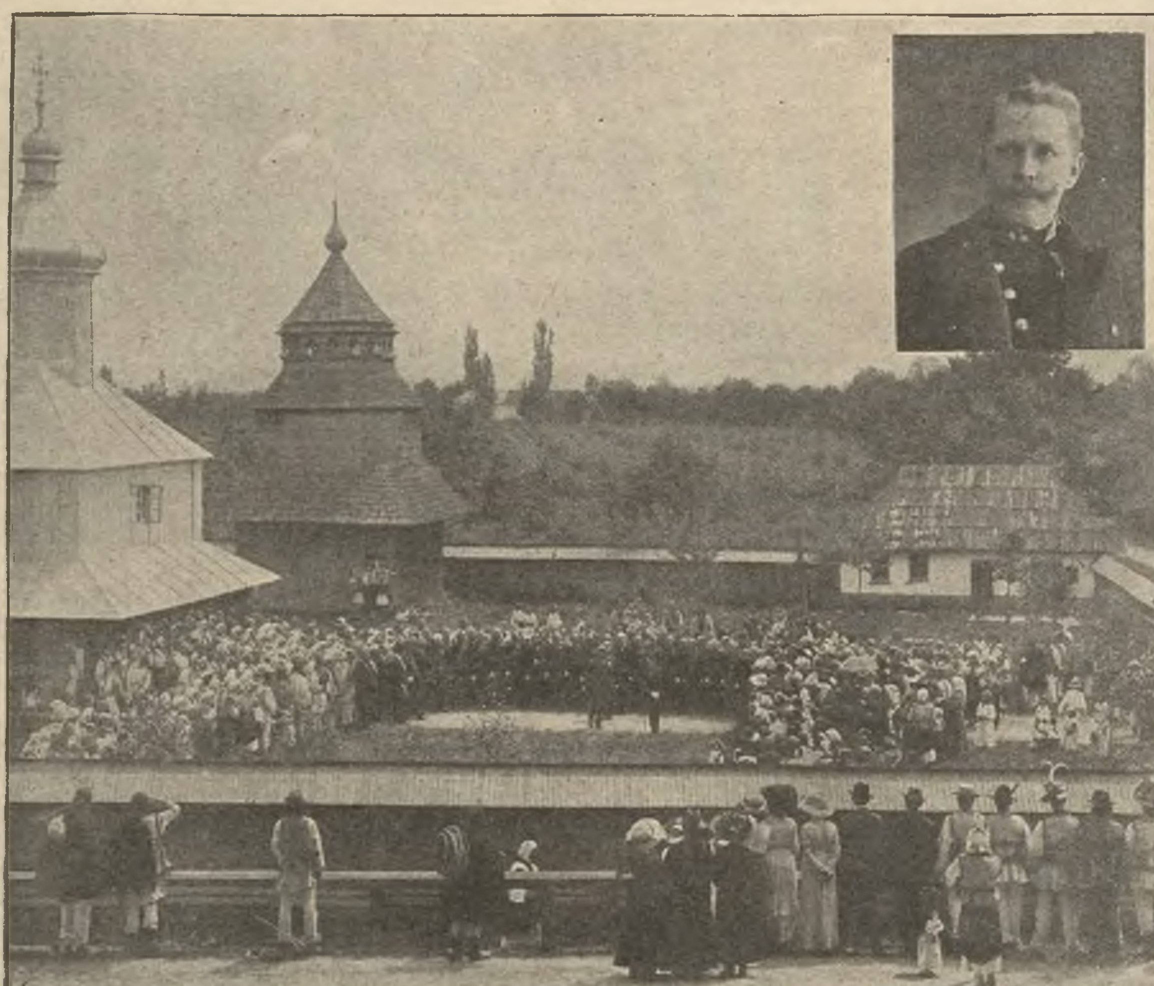
Niema nieszczęścia i zbrodni, do której nie doprowadziłoby pijaństwo. Alkohol czyni człowieka nie tylko niepoczytalnym, ale często przeistacza go w jakieś dzikie zwierzę... Swieżym tego przykładem było w tych dniach krwawe zajście przy ulicy Nowogrodzkiej w Warszawie. Miał tam skład węgla niejaki Jakób Nader, nałogowy alkoholik. Znęcał się on ciągle nad swą żoną, którą w chwilach szału pijackiego katował niemiłosiernie. Sąsiedzi musieli często spieszyć z pomocą nieszczęśliwej kobiecie, aby wydrzeć ją z rąk rozszalałego alkoholika. Pewnego dnia, gdy Nader począł znów znęcać się nad żoną — z pomocą jej przybył sąsiad, woźnica pp. Hoserów, Andrzej Papiernik. Dzięki jego interwenyi Nader wypuścił wprawdzie swą ofiarę, która zdołała uciec z mieszkania i schronić się do sąsiadów, ale poprzysiągł zemstę Papiernikowi. Gdy ten, nie spodziewając się niczego, począł zaprzęgać konie, Nader wypadł nagle z mieszkania i dużym nożem zadał mu cios śmiertelny... Przewieziony do szpitala Papiernik w godzinę zmarł, a Nadera aresztowano i osadzono w więzieniu.

Za ratowanie tonących.

Przed kilku dniami odbyła się w Załuczu w pow. śniatyński uroczystość udekorowania krzyżem zasługi wachmistrza żandarmeryi p. Jakóba Puszkara. Odznaczenie to spotkało dzielnego żandarma w nagrodę za bohaterski ratunek, jaki w czasie powodzi w r. 1911 niósł zalanym przez wodę mieszkańcom Załucza. Woda Czeremoszu, rozlawszy się szeroko na blizko 3 klm. zatopiła między innymi także chatę niejakiej Anny Fesyk. Przypływ był tak nagły, że w zalanej chałupie odcięci zostali od świata jej mieszkańcy i skazani na niechybną śmierć.

P. Puszkar, przybrawszy sobie do pomocy dwóch krewnych Fesykowej, ruszył jej z pomocą na tratwie na prędce skleconej. Pod naporem prądu tratwa rozbiła się, a płynący nią tylko dzięki przytomności umysłu wachmistrza uratowali się. P. Puszkar nie zaniechał jednak swego zamiaru. Na sprowadzonej czajce rybackiej dotarł do zalanej chaty i z narażeniem życia uratował jej mieszkańców.

W nagrodę za swoje bohaterstwo otrzymał zaszczytne odznaczenie.



Za ratowanie tonących: Ceremonia udekorowania srebrnym krzyżem zasługi p. Jakóba Puszkara, komendanta posterunku żandarmeryi w Załuczu.

Tajemnicze indywiduum.

W aresztach Sądu powiatowego w Oświęcimiu znajduje się indywiduum, które podaje, że się nazywa Moses Haut rodem z Szebietówki (powiat Zasław, gub. Wołyńska) ma lat 22, jest wyznania mojżeszowego, z zawodu kuglarz.



Aresztowany jest wzrostu średniego, szczupły, oczy ma koloru zielonego, włosy ciemne. Z tyłu na głowie posiada wielką szramę, rzekomo przy przekradaniu się przez granicę mu zadaną. Mówi i czyta po polsku, niemiecku, rusku i rosyjsku, posiada przytem wybitny akcent lwowski.

Ktoby posiadał jakie informacye o tym osobniku, zechce się zgłosić do Sądu powiatowego (oddział IV.) w Oświęcimiu.

Głosy publiczne.

Ukazał się nowy, bogato illustrowany album wewnętrznych dekoracyi. Ta praktyczna wskazówka na polu urządzania mieszkań, która między wielu innemi zawiera także nadzwyczajne nowości w dziedzinie dywanów, firanek i t. p., zostanie tym czytelnikom, którzy się na nasze pismo powołają, przez Dom dywanów i mebli S. Schein, c. k. dostawca nadworny i kameralny, Wiedeń I., Bauermarkt 10, 12 i 14, darmo i opłatnie wysłany. Wystarcza karta korespondencyjna. Nadzwyczaj interesującą nowość tworzą w tym albumie w trójkolorowym druku wykonane wzory prawdziwie wschodnich dywanów.

Z cyrku Edison. Od 23 do 29 b m. nowy program przynosi piękny dramat, osnuty na tle słynnej powieści Prevost'a, grany przez pierwszorzędnych artystów paryskich. W farsach niezrównani są komicy Prince i Maks Linder, prześcigają się w sytuacyach i mimice, pełnej humoru. Na życzenie wielu bywalców powtórzone zostaną Wyścigi klubu cyklistów krakowskich na szosie mogilańskiej. Żurnal Pathego przynosi, jak zwykle ciekawe zdjęcia z ubiegłego tygodnia.

POPULARNE JUBILEUSZOWE WYDANIE DZIEŁ KS. PIOTRA SKARGI. Krakowska Drukarnia Nakładowa wydała trzy tomiki dzieł Ks. Piotra Skargi, a mianowicie: 1) Żywoty Świętych Polskich: Św. Wojciecha, Jędrzeja Żórawka, Stanisława Biskupa, Jadwigi, Jacka, Salomei, Kunegundy, Jana Kantego, Kazimierza Królewicza i Stanisława Kostki (cena 60 h). 2) Wybór pism: Kazania Sejmowe, Nabożeństwo żołnierskie, Kazania na niedziele i święta, Bractwa miłosierdzia, Kazania przygodne i inne (cena 80 h). 3 Wybór Żywotów Świętych Starego i Nowego Zakonu: Joba, Eliasza i Judyty, O Narodzeniu Dziewicy Matki Bożej oraz żywoty Św. Anny, Józefa, Pawła, Jana Ewangelisty, Zofii, Cecylii, Barbary, Antoniego Pustelnika, Aleksego, Grzegorza Wielkiego, Wacława, Stefana, Franciszka z Assyżu i Katarzyny ze Sieny (cena 1 kor.).

Każdy tomik zawiera nadto obszerny życiorys Ks. Piotra Skargi i rozbiór Jego działalności społecznej oraz piśmienniczej, same zaś dzieła i żywoty opatrzone zostały dokładnemi i starannemi objaśnieniami, umożliwiającemi czytanie niezmienionych dzieł Skargi każdemu czytelnikowi.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 32.

Łamigłówka:

O k o
d o n
i n n
a g a
l e k
e s y
o p a
s e r
e r a
m a k
o n a
i t o
s y n
p s y
o t o
w ó r
e w a

Zadanie do przestawienia: Krowa, która wiele ryczy, mało mleka daje

Zadanie przysłowiowe: Cicha woda brzegi rwie.

Zadanie królewskie:

Wilia, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica,
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, złocistsze jagody.

Logogryf:

P a w e ł
F e n o m e n
M a j o r
A c h
i
A f e k t
M i e c h ó w
W i l h e l m
P e k i n
o
A s s
K w e s t o r
M a r y a ń s k a
A n e k s y a

Szarada: Karolina.

Bilety wizytowe: Woźnica ze Starego Sambora. Doktór wojskowy z Warszawy. Zastępca prezydenta miasta Konstantynopola.

Zadanie do przestawienia: Jakie drzewo, taki klin, jaki ojciec, taki syn.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, S. Karwowski Pilzno, J. Rachwalski Stanisławów, W. Fiala Kraków, J. Popiel Mińsk, I. Gajewski Tarnów, J. Antosz Sanok, M. Obst Łódź, Z. Mazaraki Radom

H. Lasocińska Lublin, L. Berezowski Nowy Sącz, F. Schmidt Cieszyn, S. Zaremba Mszana, K. Zegartowska Bogucice, J. Topolnicki Kamieniec, J. Cichoń Warszawa, G Świrski Piotrków, R. Gadomski Zakopane, S. Raczyński Rzeszów, L. Zapałowicz Wilno, C. Wang Tarnobrzeg, S. Fijałkowski Jasło, J. Bałuk Kołomyja, T. Kinalski Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, T. Nikiel Kraków, A Siatka Kraków, L. Ostrowski Petersburg, A. Dużak Kraków, F. Blätterfeind Jaworów, M. Wyka Sambor, S. Kozłowski Kraków, A. Gralewski Kraków, S. Kozarski Sichów, K. Więckowska Warszawa, R. Cegielski Poznań, M. Horak Oświęcim, M. Toporowski Lwów, J. Wójtowicz Rzeszów, T. Chrzanowski Suwałki, S. Reich Łódź, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, D. Sedyńska Zakopane, K. Radoszewski Tarnobrzeg, A. Wojciechowski Kraków, M. Kapalski Tarnów, S. Stawarski Wiedeń, K. Tichy Kołomyja, I. Brzostowski Podgórze, A Barnat Złoczów, S. Kruszelnicki Janów. J. Trepka Sandomierz, A. Lichański Radziwiłłów, H. Schwarz Warszawa, I. Trojacki Wiedeń, M Gottlieb Sambor, G. Samlicki Przemyśl, K Radomski Lwów, R Majewski Lwów, K. Gliński Jaremcze, J. Kamocki Kalisz, W. Lisowski Warszawa, E Niestenberger Zakopane, H Kamiński Lwów, M. Orlińska Jaworów, I Wiewiórowski Szczawnica, M. Rosenbaum Rzeszów, L. Langer Kraków, S. Dubiel Krosno, S. Lindenbaum Czerniowce, R. Ryglicki Poznań, E Mianowska Lwów, I. Błachowski Szczucin, K. Malinowska Lwów, J. Strojek Tarnopol, K Broda Złoczów, J Gans Lwów, F. Urban Kraków, J. Roland Prądnik Czerwony, W. Borkowski Kraków, J. Zaleski Czerniowce, S. Bukowski Kijów, J. Obraczay Morawska Ostrawa, S. Niżyński Lwów, L. Czerniecki Cieszyn, M. Wojakowski Petersburg, S. Sokołowski Rzeszów, L. Bandrowski Częstochowa, H. Biesiadecki Kraków, J. Czarkowski Skierniewice, A. Trzeciak Krynica, W. Potocka Kraków, J. Gruber Drohobycz, S. Kowalówka Kraków, J. Sperling Wiedeń, K. Stumpf Stanisławów, K. Kaim Kraków, L. Aleksandrowicz Płock, S. Korytowski Janów, M. Jahoda Cieszyn, E. Dębiński Szczawnica, J. Stępień Rabka, J. Gruszczyńska Wadowice, D. Staniszewski Lwów, K Różycki Lwów, J. Jaglarz Tarnopol, M. Ligęza Lwów, K. Galiński Sanok, J Janik Drohobycz, S. Nowacki Przemyśl, R. Link Lwów, A Biliński Tarnopol, S. Krzyżanowski Podgórze, S. Krysakowski Częstochowa, S Karczmarski Kraków, W. Zawadzki Tarnów, K. Hoszowski Jaremcze, M. Łapiński Warszawa, A. Wilczkiewicz Stanisławów, H. Mizerska Płock, S. Bziak Staszów, L. Mróz Lwów, J. Jakubowska Kraków, S Bobrowski Lwów, I. Zachara Mielec, K Armatys Ulanów, W. Kwaśniewski Opatów, A. Augustynowicz Lwów, D. Engelberg Rzeszów, M. Sadowska Poronin, W. Piątek Podwołoczyska, P. Madejski Wiedeń, K. Dalęba Lwów, M. Maresch Lwów, K. Mann Bochnia, M. Krawecki Radomyśl, M Kadulski Oświęcim, H. Wincencik Kraków, M. Scholz Rozwadów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. R. Ryglicki, Poznań. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Ze świata kobiecego.

Po letnich wywczasach.

Od kilku dni zaroiły się znowu ulice miast naszych paniami, które wracają z letnich wywczasów, Wiatr, słońce i deszcz zaatakowały jednak tak silnie kostyumy, suknie i kapelusze, że powracające letniczki na bruku miejskim przedewszystkiem myśleć muszą o rekonstrukcyi swojej garderoby.

Sprytne a oszczędne panie pomagają sobie same.



Suknia jesienna gładka, ozdobiona guzikami, bez żakieciku.

A więc odświeża się stare upięcia kapeluszy przez dodanie jakiejś róży lub kawałka wstążki. Nie zupełnie już świeże bluzki, czasem wypłowiałe od słońca, zakrywa się zręcznie upiętym żabotem. Przybranie to w porze przejściowej wysunęło się na pierwszy plan, porzucając rezerwę, w jakiej przez całe lato moda je trzymała. Forma żabotów jest najrozmaitsza. Skromne mają kształt sportowych kołnierzyków wykładanych, zakończonych z przodu niewielkim węzłem bez ozdób z koronek. Bardziej imponująco wyglądają żaboty, których przód tworzą wielkie wachlarzowate rewersy, zakrywające prawie cały przód bluzek. Występują także koronkowe żaboty w połączeniu z dużymi kołnierzami plisowanymi, albo też z kołnierzami o formie *Robespierre*. Dodatki te nadają nawet już znoszonym bluzkom wygląd dosyć świeży.

Trudniej już jest, gdy chodzi o odświeżenie całych toalet. W takim wypadku sam żabot lub kołnierz nie wystarczy. Ale i tu można wiele zrobić wstawiając z koronek karczek i rękawki, albo też ubierając suknię modnym pasem *pagne*, który robi wrażenie krótkiej tiuniki, a wygląda bardzo bogato.

Wiele naszych pań wobec ponawiającego się zimna, na seryo myśli już o strojach jesiennych. Obok kostyumów wracają z powrotem płaszcze, które na wiosnę tak były modne. Krój zarówno płaszczy jak i żakietów nie wiele różni się od wiosennych. Żakiety są dosyć wcięte, natomiast płaszcze z tyłu wolne, często spięte paskiem w stanie, który jednak nie sięga ku przodowi.

Wogóle zasadniczą cechą płaszczy jesiennych jest prostota. To też główną ich ozdobą będą wielkie, ładnie wyrobione guziki. Charakterystycznem jest także, iż zupełnie nie będą noszone kołnierze szalowe lub męskie, tylko bardziej fantazyjne.

Najnowszy model płaszcza jesiennego przedstawia się w ten sposób, że część górna ma charakter bluzki, zaś z przodu ma płaszcz szeroki rewers. Jako płaszcze wieczorowe modne będą sute płaszcze z aksamitu i jedwabiu.

Znawcy stosunków atmosferycznych przepowiadają, że jesień i zima tego roku będą bardzo ostre i zimne. To też materyały na suknie i płaszcze robione są tak grube, jak już dawno nie były.

Ciemne barwy przeważają, a więc kolor granatowy i bronzowy, oraz ciemno zielony. Jako nowy kolor występuje miedziano czerwony. Na kostyumy bardzo używane będą materye *homespuns* w różnych kolorach. W dziedzinie sukien pierwszy plan zajmuje jedwab, oraz tafta jako tafta *chiné i changeant* w nowych zestawieniach barw. Zasadniczo jednak i tu panują kolory ciemne jak bronzowy, ciemno-zielony, bordo lub granatowy.

Zasadniczym fasonem dla kostyumów są półdługie żakiety z szerokim rewersowym kołnierzem oraz wąskie i gładkie spodniczki. Podobnie jak na wiosnę bardzo noszone będą kostyumy, gdzie żakiet co do materyi i barwy nie będzie harmonizował ze spódniczką.

Rozwiązaną została ostatecznie także kwestya rękawów, która w lecie stanowiła moment żywych sporów. Do ubrań jesiennych zasadniczo zastosowany został rękaw wąski o kroju możliwie prostym.

Zaznaczyć jednak trzeba, że paryska moda nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa, a od tego wiele zależy. *W.*



Płaszcz automobilowy z materyi *ratine* koloru popielatego z szerokim czarnym kołnierzem.



Suknia jesienna gładka, ozdobiona guzikami z żakiecikiem o ruskim fasonie.

LEON SAZIE.

ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

Mme Benoît, widząc, iż jej gość tak się niemi interesuje, pokazała jeszcze inne, mianowicie fotografie aeroplanów, mówiąc, iż narzeczony jej córki interesuje się nadzwyczajnie awiatyką. Paulin Broquet wziął jedną z fotografii do ręki i zaczął pilnie przypatrywać się.

— O, — rzekła Mme Benoît, — to nic zajmującego, to tylko fotografia nowej armaty, mitraliezy, którą żołnierze mieli wypróbować w Satory... ale to chyba pana nie interesuje.

— Nie, rzeczywiście, — odpowiedział Broquet przekonywująco, — wolę portrety.

— Tak, lecz mój zięć ubóstwia wszystko, co ma wspólnego z wojskowością... Trzeba panu wiedzieć, że on był kiedyś w wojsku.. Jest dawnym żołnierzem legii zagranicznej.

— A więc on nie jest francuzem?

— Nie panie, jest szwajcarem, lecz kocha Francyę, jak swoją własną ojczyznę. Chciał służyć w legionie cudzoziemskim, aby następnie przyjąć tutejsze poddaństwo.

— To bardzo pięknie!

— Oto jego fotografia w ubraniu wojskowem i cywilnem. Piękny człowiek, a jaki miły!

Paulin Broquet wziął obie fotografie i zaczął im się przypatrywać uważnie, jakby chciał wyryć w swej pamięci rysy Mr. Schmitt, który tak kochał Francyę i robił takie ładne fotografie.

Zatrzymałby z przyjemnością obie podobizny przy sobie, lecz nie chciał prosić o pozwolenie na to, spodziewając się słusznie odmowy. Położył je na stole wraz z innemi fotografiami, lecz w taki sposob, aby je można było łatwo zrzucić, co też przy pierwszej sposobności uczynił. Nachylił się, aby je pozbierać z podłogi.

— Niech pan się nie trudzi, — zawołała Mme Benoît, nachylając się również.

Podczas gdy wdowa zbierała fotografie, Paulin Broquet wybrał parę egzemplarzy i schował nieznacznie do kieszeni.

Podziękował Mme Benoît za jej uprzejmość i zabierał się do wyjścia, gdy z drugiego pokoju doleciało ich żałosne wycie psa.

— Cicho!... Fritz!... Cicho!... — zawołała Mme Benoît. — Poczem dodała zwracając się do detektywa:

— To piesek mojej córki. Przywiózł go jej ze Szwajcaryi narzeczony. Płacze, bo nie widział swej pani od wczoraj.

ROZDZIAŁ XII.

Wdowa, widząc zdziwienie, malujące się na twarzy gościa, uważała za stosowne dodać parę słów wyjaśnienia.

— Zdarza się czasami... nie często... lecz w przededniu wypłat, lub innych operacyi finansowych... iż Fernanda musi do późnego wieczora pracować w biurze. Aby nie była zmuszona wracać w nocy do domu, Mr. Benamol każe wstawiać łóżko do pokoju w którym ona pisze i córka moja przepędza wtedy noc w biurze. Byłam uprzedzona właśnie, że to się dziś zdarzy, lecz biedny Fritz nie może tego zrozumieć. Może mu się zdaje, iż to jego pani lub Mr. Schmitt rozmawiają ze mną.

— Niechże pani wypuści tego biednego pieska. — I nie czekając przyzwolenia wdowy, Paulin Broquet otworzył drzwi prowadzące do pokoju Fernandy. Wybiegł stamtąd szpic czarny, z głową spuszczoną, ogonem skulonym. Zbliżył się do detektywa, obwąchał go i znów zaczął wyć żałośnie.

— Biedne zwierzę, — myślał Broquet, — poznał, iż dotykałem jego panią i przeczuł jej bliską śmierć.

Pogładził psa i pożegnawszy się z matką Fernandy, wyszedł.

Mapipe czekał go w automobilu.

— Słuchaj, — zwrócił się ku niemu, — zrób wszystko, aby pochwycić Fritza.

— Fritza?

— Szpica czarnego, należącego do pani Benoît, matki Fernandy.

— Przyprowadzisz go do mego biura w prefekturze. Chociaż nie mam wielkiego przekonania do psów policyjnych, ale zdaje mi się, że ten odda nam niezłą przysługę.

Żeby nie tracić czasu, Paulin Broquet chciał udać się do mieszkania Schmitta, przy ulicy de la Tour-Maubourg, ale zmienił zamiar ze względu na to, że trzeba było działać z największą ostrożnością. W całej tej, tak dziwnej sprawie — z łatwością można było uczynić krok fałszywy, który mógłby pociągnąć za sobą wprost nieobliczalne szkody.

Udał się najpierw do komisaryatu policyi w dzielnicy wojskowej, rozmówił się przez telefon z prefektem, od którego otrzymał pozwolenie opieczętowania mieszkania Schmitta. Jednocześnie miano wysłać rozkaz aresztowania szwajcara, do fabryki prochu, gdzie ten pracował. Podczas, gdy prefekt rozmawiał o tem z detektywem — w telefonie rozległ się wybuch śmiechu.

— Hallo! Broquet! — zawołał zdumiony prefekt — Hallo! Z czegóż się pan tak śmieje, do licha!

— Nie śmieję się wcale, panie prefekcie — odparł natychmiast detektyw — nie śmiałem zadać panu tego pytania, słysząc wybuch śmiechu.

— Ja się nigdy nie śmieję, a zwłaszcza na służbie.

— A więc panie prefekcie — musiał się śmiać ktoś trzeci... Czy pan pamięta przerwę w naszej rozmowie dziś rano?.. Ale skąd ten śmiech? Dlaczego się śmieją?..

ROZDZIAŁ XIII.

Niespodzianka za niespodzianką.

W danej chwili jednak mało obchodziła detektywa okoliczność, iż podsłuchano jego rozmowę z prefektem... Zadowolony był, że otrzymał od prefekta to, czego żądał i że mógł działać legalnie. Wsiadł do automobilu z komisarzem policyi i jego sekretarzem i kazał się wieść do mieszkania Schmitta. Obecność komisarza policyi upraszczała sprawę. Udano się wprost na czwarte piętro, gdzie Schmitt zajmował niewielkie mieszkanie.

Paulin Broquet przy pomocy uniwersalnego klucza otworzył drzwi wchodowe. Gdy to czynił — usłyszał w mieszkaniu jakiś szmer. Wszedł szybko i w tej chwili doleciało do jego uszu stuknięcie drzwiami w drugim końcu mieszkania. Pobiegł w tamtą stronę, ale po drodze zatrzymały go znowu drzwi zamknięte na klucz. Otworzywszy je — detektyw znalazł się w ubieralni, przerobionej na pokój do fotografowznia.

Na kominku paliły się jakieś papiery, filmy — detektyw schylił się szybko, chcąc uratować coś z ognia, gdy znowu usłyszał w sąsiednim pokoju szmer. Skoczył do drzwi, otworzył je szybko i wszedł do kuchni. Dojrzał, jak wymykała się z niej przez drzwi prowadzące na schody, otyła kobieta o rudych włosach, ubrana w niebieską suknię. Kobieta ta szybko zamknęła za sobą drzwi na klucz.

Wiedząc, że wszystkie wyjścia są obsadzone przez ajentów, Paulin Broquet nie przeszkadzał ucieczce kobiety i powrócił do laboratoryum fotograficznego. Przy pomocy ręcznika zmaczanego w wodzie — zagasił ogień w kominku i począł ostrożnie wyjmować papiery, filmy, klisze fotograficzne, które chciano zniszczyć a które musiały być bardzo interesujące. Podczas gdy układał te dokumenty, chcąc zabrać je ze sobą, jedna z film, skręcona przez gorąco ognia wymknęła mu się z rąk. Podniósł ją i spojrzał na nią pod światło. Na czarnem tle ujrzał białe litery:

„Ministerstwo spraw zagranicznych.
Gabinet ministra".

Paulin Broquet poczuł ogarniające go wzruszenie, jakiego nigdy jeszcze nie doznał w swym burzliwym zawodzie detektywa.

Drżącą ręką przekręcił taster od światła elektrycznego — i począł starannie badać film, chcąc upewnić się, że się nie pomylił.

O pomyłce nie mogło być mowy — detektyw trzymał w ręku fotografię dokumentu z ministerstwa. Nie tracąc czasu na szczegółowe odczytywanie, detektyw zwinął film i schował do kieszeni. Uratowane z ognia dokumenty zawinął w ręcznik i udał się do sąsiedniego pokoju, gdzie czekał nań komisarz policyi z sekretarzem. W sypialni znaleziono mnóstwo fotografii pana James'a Benamol, różnej wielkości, w najrozmaitszych pozach.

— Głowa James'a Benamol, jak widzę, bardzo interesowała p. Schmitta — pomyślał Paulin Broquet.

Prócz tego znalazł dużo fotografii młodego człowieka o inteligentnej twarzy o jasnych, przyciętych po wojskowemu wąsach. Paulin Broquet widział te fotografie u pani Benoît. Przedstawiały one samego Schmitta, szwajcara, dawnego żołnierza legii cudzoziemskiej, który tak kochał Francyę, iż fotografował z zapałem forty, aeroplany i najnowsze modele armat.

Komisarz chciał przykładać pieczęcie na szafie, nie zaglądając do niej, Paulin Broquet zatrzymał go.

— Wartoby zobaczyć, co się tam znajduje.

— O! — odparł komisarz — bielizna.

— A ja myślę, że ubrania...

I otworzył szafę.

Jednocześnie rozległy się okrzyki przerażenia, zdziwienia, osłupienia.

W szafie wisiał człowiek.

ROZDZIAŁ XIV.

Człowiek, który za często umiera.

Sekretarz, młody człowiek, nieprzyzwyczajony jeszcze do widoków tego rodzaju, w przerażeniu upuścił świecę i wosk, które trzymał w ręku.

Paulin Broquet uśmiechnął się pobłażliwie i rzekł:

— Niech pan podniesie świecę i wosk, drogi panie i niech pan czyni to co ja — niech się pan przyjrzy.

Komisarz ochłonął ze zdumienia szybko i wszyscy trzej poczęli się przypatrywać powieszonemu.

— Doprawdy ten człowiek za często umiera — rzekł detektyw — i zawsze w sposób tragiczny.

— Co pan chce przez to powiedzieć, drogi Janie Broquet? — zapytał komisarz, nie rozumiejąc znaczenia tych słów.

— Dziś rano widziałem tego człowieka — wtedy był on uduszony.

— Gdzie go pan widział?

— Przy ulicy Saint-Marc.

Widząc zdumienie na twarzach swych towarzyszy — detektyw podszedł z uśmiechem do szafy i wyjął z niej wiszącego.

— Niech się pan przyjrzy, drogi panie — rzekł do komisarza.

Był to poprostu manekin o twarzy z wosku, imitującej do złudzenia twarz... Jamesa Benamol.

Paulin Brequet — w doskonałym humorze — prowadził dalsze poszukiwania. Znalazł w szafie skrytkę, dowcipnie zamaskowaną — i znowu po jej odkryciu — rozległy się okrzyki.

W skrytce znajdowały się dwa manekiny: mężczyzna i kobieta.

Maska kobiety była wiernym portretem brunetki o cudownie pięknych oczach, którą Paulin Brequet widział w automobilu, gdy jechał do ministerstwa spraw zagranicznych.

Maska mężczyzny odtwarzała rysy towarzysza młodej kobiety. Była to ta sama twarz, na widok której Paulin Brequet mimowoli zawołał: „On“! Był to ten sam człowiek, którego detektyw kazał śledzić swemu szoferowi, i który tak zręcznie wymknął się, pozostawiając w rękach Paulin Brequet maskę japońską o oczach z emalyi.

. . . .

Paulin Brequet pozwolił komisarzowi pieczętować mieszkanie, sam zaś, rozejrzawszy się jeszcze raz po mieszkaniu, miał już odejść, gdy nagle, jakby sobie coś przypomniał, zwrócił się do urzędnika:

— W tem mieszkaniu znajdują się dokumenty pierwszorzędnej wartości. Mieszkanie będzie opieczętowane, ale dla łotrów, z jakimi mamy do czynienia — pieczęcie nic nie znaczą. Opieka odźwiernej nad pieczęciami także wydaje mi się niewystarczająca. Przyślę więc jednego ze swych ludzi, który będzie tu czuwał przez całą noc. Pan rozumie, panie komisarzu — w takich wypadkach nie można być zanadto ostrożnym.

Komisarz zgodził się na propozycyę detektywa i ten ostatni oddalił się zabierając ze sobą uratowane z ognia dokumenty. Spieszył się do ministeryum, chcąc pokazać kliszę fotograficzną ministrowi i dowiedzieć się co na niej było odbite.

Na schodach usłyszał głośną rozmowę. To ajent policyjny, postawiony przez komisarza — rozprawiał z jakąś kobietą. Ajent mówił, że postawiony jest na straży i że niewolno mu nikogo wypuszczać z domu. Kobieta głośno protestowała przeciw takim rozporządzeniom, i żądała natarczywie, żeby ją wypuszczono. Mówiła z silnym niemieckim akcentem. Paulin Brequet zbiegł szybko ze schodów i stanąwszy w korytarzu przyjrzał się kobiecie. Była to krępa, otyła kumoszka, ubrana w pelerynę i niebieską suknię.

Przypominała ona kobietę, którą widział detektyw wymykającą się z mieszkania Schmitta. Nie dojrzał jednak wówczas jej twarzy, nie mógł więc być pewnym, czy to jest ta sama kobieta. A był zanadto ostrożnym, żeby aresztować kogoś na podstawie tak słabych poszlak. Przysłuchiwał się więc zdaleka rozmowie, do której przyłączyła się odźwierna i kilka sąsiadek. Wszystkie starały się zwalczyć upór policyanta.

— Ależ, wreszcie — wołała stróżka — pan nie może przeszkadzać ludziom w spełnianiu ich obowiązków.

— Nie — odparł spokojnie ajent — ale muszę spełnić swój obowiązek.

— Małgorzata idzie po zakupy...

— Nikomu nie wolno wychodzić...

— Z wyjątkiem służących...

— Powiedziano: nikomu!

— Ależ mój pan zaraz wróci ze szkoły wojskowej — odezwała się Małgorzata — musi przecież zjeść śniadanie.

— Naturalnie.

— No — a ja nie mam dla niego śniadania!

Odźwierna, przypuszczając, że tym argumentem przekona ajenta, wtrąciła:

— Małgorzata służy u kapitana Malthera...

Paulin Brequet nadstawił uszu. Kapitan... ze szkoły wojskowej... który ma kucharkę, mówiącą takim akcentem niemieckim... mieszkający w domu, gdzie znajdował się tak osobliwy lokator... to było nadzwyczaj zajmujące.

— Małgorzata służy u kapitana Malthera, — pomyślał — wiem, gdzie mam jej szukać, gdy mi będzie potrzebna...

I, podszedłszy do grupy, zapytał głośno:

— O co chodzi?

Wszyscy obejrzeli się na dźwięk tego głosu. Detektyw spojrzał przelotnie po obecnych i zatrzymał wzrok na Małgorzacie.

Była to kobieta w wieku około trzydziestu pięciu lat, otyła, przysadkowata, o twarzy szerokiej, obrzękłej, usianej brodawkami. Patrzyła ze strachem na detektywa, nic nie mówiąc.

ROZDZIAŁ XI.

Małgorzata.

Ajent, salutując, raportował:

— Ta kobieta, panie szefie, chce wyjść na miasto, nie chcę jej wypuścić, ponieważ mam wyraźny rozkaz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Znaleźć tytuły utworów poniżej wymienionych pisarzy. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą tytuł opery Flotowa.

Szekspir?
Słowacki?
Łączyński?
Maskoff?
Słowacki?

Arytmogryf.

Ułożyła W. S., Rzeszów.

Liczby zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nazwę jednej ze stolic europejskich.

1
2 3 4
5 6 5 2 7
1 6 8 3 2 9 10
4 11 12 6 2 6 13 14 6
12 10 2 15 7 12 6
5 7 16 3 5
16 14 13
16 6 2 12 6
16 3 8 13 2 6 17

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Niemczech 3 Część Karpat 4 Miasto na Sycylii 5 Rzeczpospolita amerykańska. 6. Wyspa na morzu Śródziemnem. 7. Wyżyna w Azyi. 8 Rzeka w Galicyi. 9. Płaskowzgórze w Afryce. 10. Miasto w Serbii.

Kryptogram.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

Pomiędzy podane samogłoski wstawić odpowiednie spółgłoski, a otrzymamy rozwiązanie, przypominające nam katastrofę z ostatnich czasów.

O i a a a : y o a.

Logogryf.

Ułożył J. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda pseudonim polskiego wybitnego powieściopisarza.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2 Ptak. 3 Opera polska. 4. Jedna z Muz 5 Rozbójnik morski 6 Rodzaj budowli. 7. Imię męskie 8. Miasto w Birmie. 9. Roślina 10 Czarodziejka grecka. 11 Część Apeninów. 12. Zamek cesarza niemieckiego.

Szarada.

Ułożył W. Zachwatowicz, Lwów.

(Fragment z rozmowy).

— Cóż to? U was *pierwsze—trzecie* służba leniwa
Trzeba na nią koniecznie *drugie-pierwsze!*
— *Drugie!...* Cóż do *trzecie-pierwsze* mam z nią począć..
Już mi życie obrzydło! Sposobu na nią znaleźć nie mogę! — rzekł gospodarz, uderzając pięścią w stół
— Ostrożnie! Potrząsnąłeś stołem i rozsypałeś *całość!...*
Toż to będziemy kichać..

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: a, d, d, e, e, ę, ę, ę, ę, g, j, j, k, l, n, o, o, ó, p, r, r, s, u, w, w, z, z, z, ż.

Szarada.

Ułożyła K. Szomańska, Rawa Ruska.

Kiedy *całość, drugie—trzecie,*
Od początku świata wiecie,
Traci humor, spać nie może,
Wzdycha ciągle: O mój Boże!
Druga z pierwszą, zwierzę żwawe,
Lubi skubać świeżą trawę.
Pierwsza, druga, razem z czwartą,
Gdy za niemi drzwi zawarto,
Już nie wrócą do swobody.
Całość, to życiowe gody,
Tak się każdy z nas zwać musi,
Gdy o miłość się pokusi.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Szymanek, Stary Sambor.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie: Ten sługa Nce zaskarżył o nic oczy, łzy i łono p Z. de Ce

Zagadka literacka.

Ułożył Stan. Marc., Rzeszów.

Wynaleźć po jednym utworze każdego z podanych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko polskiego literata

Sienkiewicz?
Sieroszewski?
Korzeniowski?
Orzeszkowa?
Przybyszewski?
Sewer?
Kaczkowski?
Lam?
Miłkowski?
Reymont?
Gruszecki?
Kraszewski?

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *K. Jarochowskiego:* **Opowiadania historyczne.** 2 tomy.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.